

H. Beam Piper

# Uniwersalny język

(Omnilingual)

Astounding, February 1957

Ilustracje: Freas

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

© Public Domain

This text is translation of the novelette "Omnilingual" by H. Beam Piper, published by Project Gutenberg, October 2, 2006 [EBook #19445]

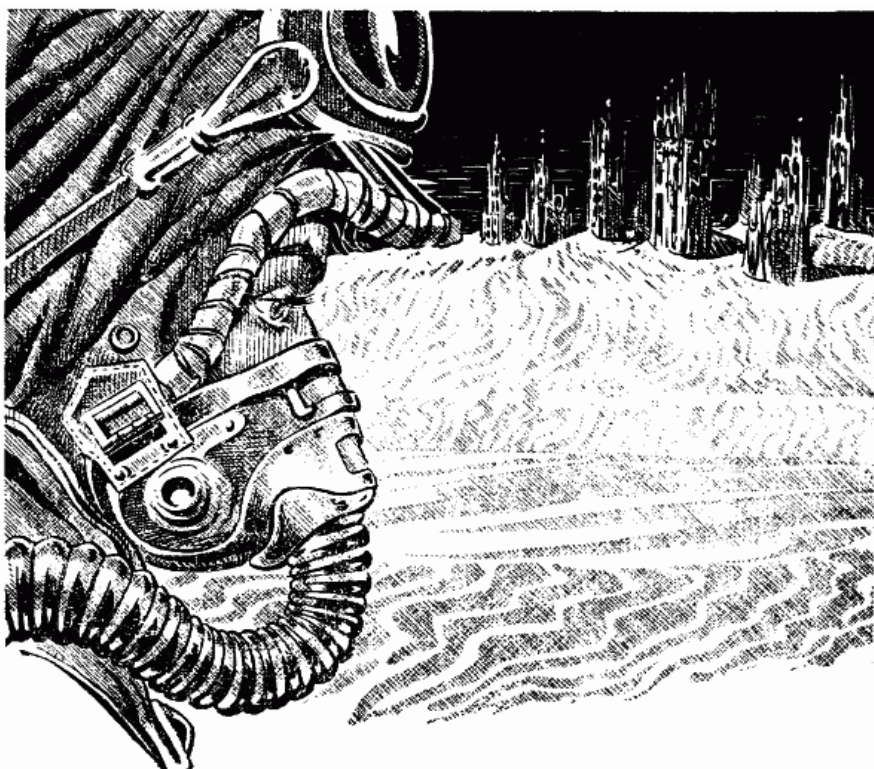
According to the included copyright notice:

"This etext was produced from "Astounding Science Fiction," February, 1957. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.



*Aby przetłumaczyć pismo, potrzebny jest odpowiedni klucz. A jeżeli ostatni marsjański pisarz umarł czterdzieści tysięcy lat przed urodzeniem pierwszego pisarza Ziemi... w jaki sposób przetłumaczyć język Marsjan?*



**M**artha Dane zrobiła sobie chwilę przerwy, przyglądając się miedzianemu niebu, zabarwionemu lekkim odcieniem purpury. W czasie kiedy była w środku, od godzin południowych, wiatr zmienił kierunek, a burza pyłowa, omiatająca surowe pustynie położone na wschodzie, teraz dmuchała piaskiem prosto od strony Syrtis. Słońce, powiększane przez otaczającą je mgiełkę, było okazałą kulą w kolorze magenty, równie dużą jak słońce na Ziemi. Tylko że można było spoglądać na nie bezpośrednio, nieosłoniętym okiem. Jeszcze dzisiejszego wieczora część z tego pyłu opadnie z wyższych warstw atmosfery, dodając kolejną warstewkę do osadu, który pokrywał miasto przez ostatnie pięćdziesiąt tysięcy lat.

Warstwa czerwonego piachu leżała na wszystkim, przykrywając ulice, puste przestrzenie parków i placów, skrywając mniejsze domy, które zostały zgniecione i sprasowane pod ciężarem osadzonego pyłu oraz gruzu spadającego z wysokich budynków, kiedy ich dachy pozawały się, a ściany poprzewracały na zewnątrz. Tutaj, w miejscu w którym stała, pradawne ulice położone były sto pięćdziesiąt stóp pod powierzchnią gruntu. Wyłom jaki zrobili w ścianie budynku stojącego za jej plecami, znajdował się na szóstym piętrze. Mogła stąd popatrzeć w dół, na skupisko prefabrykowanych baraków i szop, stojących na porośniętej krzewami równinie, pełniące funkcję nabrzeża, w czasach kiedy miejsce to było portem na oceanie, po którym obecnie pozostała tylko Depresja Syrtis. Już w tej chwili jasny metal z którego je zbudowano, pokryty był cienką warstwą czerwonego pyłu. Zamyśliła się, znowu, nad tym, ile wymagać będzie oczyszczenie tego miasta, w kategoriach czasu i nakładów siły roboczej, ludzi, materiałów i sprzętu, przewożonych przez pięćdziesiąt milionów mil przestrzeni kosmicznej. Musieli używać maszyn, nie było żadnego innego sposobu, w jaki można by to zrobić inaczej. Buldożery, potężne koparki i taśmociągi. Były szybkie, ale były również niezgrabne i traktowały wszystko tak samo. Przypomniały jej się wykopaliska wokół Harappa i Mohendžo-Daro w dolinie Indusu, i uważni, cierpliwi miejscowi pracownicy -- staranni kierownicy, robotnicy pracujący kilofami i szpadlami, długie rzędy tragarzy, wynoszących w kosztach wykopaną ziemię. Powolni i prymitywni, jak cywilizacja, której ruiny odkrywali, tak. Ale na palcach jednej ręki mgła policzyć przypadki, kiedy któryś z jej kopaczy zniszczył jakiś cenny obiekt, znajdujący się w ziemi. Gdyby nie kiepsko opłacani i nigdy nie skarżący się miejscowi robotnicy, archeologia ciągle znajdowałaby się w miejscu, w którym zastał ją Wincklemann. Tylko że tutaj, na Marsie, nie było miejscowej siły roboczej. Ostatni Marsjanin umarł pięćset wieków temu.

Coś zaczęło walić jak karabin maszynowy, jakieś czterysta, pięćset jardów, po jej lewej ręce. Solenoidowy młot pneumatyczny. Tony Lattimer musiał się zdecydować, który z budynków chce otworzyć jako następny. Zdała sobie w tym momencie sprawę, z niewygodnego rozłożenia wagi jej wyposażenia, zaczęła je przemieszczać, przesuwając paski plecaka ze zbiornikiem tlenu, zdejmując z jednej ramienia aparat fotograficzny, a tabliczkę i przybory do rysowania z drugiego, zbierając razem trzymane

pod lewą ręką notatniki i szkicowniki. Ruszyła potem drogą pokonując pagórki zasypanego przez piasek gruzu, obchodząc resztki ścian, wystających w górę spod osadów pyłu, mijając ciągle stojące budynki, niektóre z nich już zostały rozbite i przebadane. Następnie udała się przez porośniętą zaroślami równinę, w stronę baraków.

---

**K**iedy weszła do pomieszczenia głównego biura w Baraku Jeden, było w nim dziesięć osób. Natychmiast po zrzuceniu z siebie aparatu tlenowego, z rozkoszą zapaliła papierosa, swojego pierwszego od południa, a potem powiodła po kolei wzrokiem po wszystkich obecnych w środku. Stary Selim von Ohlmhorst, Turko-Niemiec, jeden z jej kolegów archeologów, siedział na końcu długiego stołu, oparty o dalszą ścianę baraku, paląc swoją wielką zakrzywioną fajkę i przeglądając notatnik pełen luźnych, pospinanych kartek. Naprzeciwko niego, po drugiej stronie stołu, w jasno oświetlonym miejscu pod dwoma opuszczanymi lampami, pochylała się nad swoją robotą Sachiko Koremitsu, oficer zaopatrzeniowy, młoda dziewczyna. Pułkownik Hubert Penrose, z Sił Kosmicznych i kapitan Field, oficer wywiadu, wysłuchiwali raportu jednego z pilotów aerodyn, który właśnie powrócił z codziennego popołudniowego lotu rekonesansowego. Para dziewcząt, poruczników z Telekomunikacji, sprawdzała punkt po punkcie scenariusz wieczornego przekazu telewizyjnego, który miał zostać nadany na znajdującego się na orbicie, pięć tysięcy mil ponad planetą, *Cyrano*, a stamtąd przekazany na Terre, via Księżyc. Koło nich siedział Sid Chamberlain, dziennikarz z Trans-Space News Service. Był cywilem, tak samo jak Selim i ona sama. Oznajmiał ten fakt donośnie nosząc białą koszulę i niebieski sweter bez rękawów. A major Lindemann, oficer służb technicznych, wraz z jednym ze swoich asystentów, dyskutowali nad jakimiś planami, stojąc przy tablicy do rysowania. Miała tylko nadzieję, napełniając garczek gorącą wodą, aby umyć ręce i przetrzeć twarz, że zajmowali się czymś związanym z bieżącą wodą.

Wzięła swoje notatniki i szkicowniki i ruszyła do miejsca w którym siedział Selim von Ohlmhorst, ale po drodze, tak jak to zawsze robiła, odwróciła się w bok i zatrzymała, aby popatrzeć na Sachiko. Dziewczyna rekonstruowała coś, co pięćdziesiąt tysięcy lat temu było książką. Na oczy nałożoną miała lupę teleskopową, której czarna opaska mocująca była zupełnie niewidoczna na tle jej równie czarnych, połyskujących włosów., Przyrządem zbudowanym z zestawu cienkich jak włos drucików, zamocowanych w uchwycie z miedzianej rurki, delikatnie wybierała kawałeczki pokruszonej strony. W końcu po odsunięciu każdego malutkiego jak płatek śniegu fragmenciku, chwyciła go pincetą i umieszczała na arkuszu przezroczystego plastiku, na którym rekonstruowała stronę. Następnie spryskiwała go mgiełką środka utrwalającego, z malutkiego rozpylacza. Przyglądanie się jej pracy, było czystą przyjemnością. Każdy jej ruch był pełen gracji i precyzyjny, jakby

był wykonywany w rytm muzyki, po wcześniejszym przećwiczeniu setki razy.

– Cześć, Martha. To jeszcze chyba nie pora na kolację, co nie? – Siedząca przy stole dziewczyna spytała ją o to, nie unosząc głowy i niemal nie poruszając ustami, tak jakby bała się że najlżejszy ruch powietrza mógłby uszkodzić rozpadającą się stronę, która leżała rozłożona przed nią.

– Nie, dopiero jest piętnasta trzydzieści. Skończyłam już moją pracę tam na dworze. Nie znalazłam żadnej nowej książki. Pewnie to dobra wiadomość dla ciebie.

Sachiko zdjęła lupę i odchyliła się do tyłu na krześle, zakrywając oczy dłońmi.

– Nie, lubię to robić. Nazywam to łamigłówką – mikroukładanką. Ta książka, tutaj, to naprawdę totalny galimatias. Kiedy Selim ją znalazł była otwarta, i leżała na niej jakaś ciężka rzecz. Strony zupełnie się pokruszyły. – Zawahała się lekko. – Gdybyśmy jeszcze, kiedy już ją zrekonstruuję, mogli poznać jej treść.

W jej słowach mógł się kryć lekko krytyczny podtekst. Zanim Martha jej odpowiedziała, zdała sobie sprawę z tego, że przyjęła defensywną postawę.

– I poznamy, pewnego dnia. Pomyśl tylko, jak wiele czasu zajęło odczytanie egipskich hieroglifów, nawet już po znalezieniu Kamienia z Rosetty.

Sachiko uśmiechnęła się.

– Tak. Wiem. Ale trzeba jeszcze mieć Kamień z Rosetty.

– A my go nie mamy. Nigdzie na Marsie nie znajdziemy żadnego Kamienia z Rosetty. Cała rasa, cały gatunek wymarł, zanim jeszcze pierwsi artyści jaskiniowi w Cro-Magnon namalowali na ścianach wizerunki reniferów i żubrów, i nie istnieje żaden ułatwiający zrozumienie pomost, ponad dzielącą nas przepaścią pięćdziesięciu tysięcy lat czasu i pięćdziesiąt milionów mil odległości. Coś jednak znajdziemy. Gdzieś musi istnieć coś takiego, co pozwoli nam ustalić znaczenie kilku słów, a my użyjemy ich do znalezienia kilku kolejnych słów, i tak dalej. Być może nawet nie dożyjemy czasów w których to pismo zostanie odczytane, ale to my zainicjujemy nad tym prace, a pewnego dnia ktoś w końcu tego dokona.

Sachiko zdjęła ręce z oczu, uważając by nie spojrzeć nieosłoniętym okiem prosto w lampy, i ponownie się uśmiechnęła. Tym razem Martha była pewna, że nie jest to japoński uśmiech formalnej uprzejmości, ale ogólnoludzki uśmiech przyjaźni.

– Mam nadzieję, Martho, naprawdę mam nadzieję. Byłoby cudownie, gdybyś to właśnie ty dokonała tego jako pierwsza. Byłoby też cudownie, gdybyśmy wszyscy mogli przeczytać to, co napisali ci ludzie. Dzięki temu moglibyśmy naprawdę obudzić to umarłe miasto ponownie do życia. – Uśmiech jednak powoli się rozpląwał. – Ale to wydaje się tak mało realne.

– Nie znalazłaś żadnych innych obrazków?

Sachiko pokręciła głową. Znalazła już setki obrazków z podpisami, ale nie udało im się ustalić żadnego pozytywnego związku, pomiędzy jakąkolwiek narysowaną rzeczą i jakimkolwiek napisanym słowem. Obie

nie miały już nic do powiedzenia, i po chwili Sachiko ponownie założyła lupę i pochyliła głowę nad książką.

---

**S**elim von Ohlmhorst spojrział na nią sponad przeglądanego notatnika, wyjmując z ust fajkę.

– Tam na górze, wszystko już skończone? – spytał ją, wydmuchując obłoczek dymu.

– Tak jakby na razie było. – Położyła swoje notatniki i szkicowniki na stole. – Kapitan Gicquel zaczął uszczelniać budynek od piątego piętra w dół, zostawiając wejście na szóstym. Jak tylko skończy to robić, zacznie rozstawiać generatory tlenowe. W miejscach, gdzie będzie pracował, oczyściłam już wszystko.

Pułkownik Penrose szybko uniósł wzrok do góry, tak jakby chciał sobie zakonotować w głowie coś, czym trzeba będzie się zająć nieco później. Potem ponownie skierował uwagę na pilota, który właśnie wskazywał mu coś na mapie.

Von Ohlmhorst skinął głową.

– No to, do tego czasu nie ma tam wiele do roboty – Czy wiesz może, który z budynków, Tony wybrał do badań, jako następny?

– Wydaje mi się, że ten wysoki, z taką stożkową konstrukcją na dachu, podobną do kapturka do gaszenia świec. Słyszałam, że gdzieś z tamtej strony wiercił otwory pod ładunki wybuchowe.

– No cóż, mam nadzieję, że tamten okaże się jednym z zamieszkałych aż do samego końca.

Poprzednio badany do nich nie należał. Ewidentnie, przez długi czas był odzierany z przechowywanej zawartości i wyposażenia, troszeczkę tu, troszeczkę tam, chaotycznie, dopóki nie został niemal kompletnie wypatroszony. Przez wieki, podczas których miasto stopniowo umierało, niemal skonsumowało się samo, w procesie swoistego autokanibalizmu. Powiedziała coś, na temat tego typu zjawisk.

– Tak. Zawsze mamy do czynienia z czymś podobnym -- poza oczywiście miejscami takimi jak Pompeje. Czy widziałaś którekolwiek z rzymskich miast we Włoszech? – spytał ją. – Na przykład Minturnae? Najpierw jego mieszkańcy rozwalili to, by naprawić coś innego, a następnie, kiedy opuścili miasto, pojawili się nowi przybysze, niszcząc wszystko co jeszcze przetrwało, paląc nawet kamienie żeby uzyskać gaszone wapno, albo krusząc je na materiał do naprawy dróg. I tak to trwało, dopóki w miejscu miasta nie zostało już nic poza śladami fundamentów. Tutaj jesteśmy w dosyć szczęśliwej sytuacji. To jest jedno z miejsc, w których rasa marsjańska wyginęła, i nie było żadnych barbarzyńców, którzy mogliby nadciągnąć później i zniszczyć to, co pozostawili po sobie poprzedni mieszkańcy. – Pyknął powoli ze swojej fajki, wypuszczając obłok dymu. – Pewnego pięknego dnia, przebijemy się do jednego z tych budynków i stwierdzimy że to ten, w którym umarły ostatnie z tych istot. Wtedy poznamy historię końca tej cywilizacji.

A jeżeli dowiemy się w jaki sposób odczytać ich pismo, to będziemy mogli poznać całą jej historię, a nie tylko nekrolog. Zawahała się, ale nie ubrała tej myśli w słowa.

– Pewnego dnia dowiemy się tego, Selim – pokrzepiła go, a następnie spojrzała na zegarek. – Idę, przed kolacją pogonić prace nad kilkoma kolejnymi punktami z moich list.

Przez chwilę twarz starszego mężczyzny zeszywniała z dezaprobatą, zaczął już coś mówić, ale zastanowił się nad tym lepiej i tylko włożył z powrotem do ust fajkę. Krótkie zmarszczki tworzące się mu wokół warg i lekkie skrzywienie białych wąsów, zupełnie jednak jej wystarczyły. Widziała o czym myśli. Jak uważał, marnowała czas i energię. Czas i energię, które nie były wyłącznie jej własnością, ale należały do całej ekspedycji. Zdawała sobie sprawę z tego, że być może nawet miał rację. Ale musiał się mylić, musi być jakiś sposób, żeby to zrobić. W milczeniu odwróciła się od niego i poszła do swojego siedzenia, znajdującego się pośrodku stołu, koło skrzynki z jej własnymi rzeczami.

---

**P**przed nią, leżała spora sterta zdjęć i fotokopii odrestaurowanych książek, pospisywanych inskrypcji, oraz notatników w których kompilowała swoje listy. Usiadła, zapalając nowego papierosa, i wyciągnęła rękę w stronę stosu z niesprawdzonymi jeszcze materiałami, biorąc pierwszą kartkę od góry. Była to fotokopia tekstu, wyglądającego na stronę tytułową i spis treści jakiegoś periodyku. Przypominała ją sobie. Sama ją znalazła w szafce w piwnicy budynku, który właśnie skończyła badać.

Przez chwilę siedziała i przyglądała jej się uważnie. Mogła ją nawet odczytać, w tym sensie, że stworzyła już przedtem czysto arbitralny, ale konsekwentnie możliwy do wymówienia, system wartości fonetycznych, przydzielanych poszczególnym literom. Podłużne, pionowe symbole były samogłoskami. Było ich tylko dziesięć, nie było to za dużo, jeśli dopuściło się oddzielne znaki dla głosek długich i krótkich. Do tego dochodziło dwadzieścia krótkich, poziomych liter, co oznaczało że takie dźwięki jak – ng, -ch, czy –sh, były pojedynczymi literami. Szanse na to, że jej system odpowiadał oryginalnym dźwiękom tego języka, wynosiły jak jeden do milionów, ale utworzyła już listę kilku tysięcy słów marsjańskiego, i była w stanie wymówić każde z nich.

I jak na razie, zaszła właśnie dotąd. Mogła wymówić od trzech do czterech tysięcy słów języka marsjańskiego, ale nie potrafiła przypisać znaczenia nawet jednemu z nich. Selim von Ohlmhorst uważał, że nigdy nie będzie w stanie tego zrobić. Podobnie jak i Tony Lattimer, a on był dużo mniej powściągliwy w wygłaszaniu swoich opinii na ten temat. Tak samo zresztą, była tego pewna, myślała Sachiko Koremitsu. Bywały chwile, od czasu do czasu, kiedy sama zaczynała się już obawiać, że to oni mogą mieć rację.

Litery na leżącej przed nią kartce papieru, zaczęły się wić i tańczyć ze sobą, wysokie i smukłe samogłoski, z małymi grubymi spółgłoskami. Podobnie jak ostatnio czyniły to każdej nocy, w jej snach. Miała również

jeszcze inne sny, w których czytała je z taką łatwością, jakby był to angielski. Po obudzeniu się, desperacko, lecz na próżno, próbowała je sobie przypomnieć. Zamrugła oczyma i odwróciła wzrok od fotokopii strony. Kiedy spojrzała na nią ponownie, litery zachowywały się już właściwie. Na górze strony znajdowały się trzy słowa, odcięte od góry i od dołu, co wydawało się być marsjańską metodą uwypuklenia znaczenia. *Mastharnorvod Tadavas Sornhulva*. Wymówiła je w myślach, przeszukując odnośniki w swoich notatkach, żeby sprawdzić, czy natknęła się na nie wcześniej i w jakim kontekście. Wszystkie trzy były już zapisane. W dodatku *masthar* było to dosyć powszechne słowo, tak samo jak *norvod*. Podobnie samo *nor*. Zaś *-vod* było przyrostkiem i nie występowało jako samodzielne słowo. *Davas* również było słowem, a *ta-* często stosowanym przedrostkiem. Zarówno *sorn*, jak i *hulva* były słowami występującymi powszechnie. Ten język, jak już zdecydowała dawno temu, musi być trochę podobny do niemieckiego. Kiedy Marsjanie potrzebowali nowego słowa, po prostu sklejali razem parę wcześniej istniejących określeń. Najprawdopodobniej ich język okaże się gramatycznym horrorem. No dobrze, Marsjanie publikowali więc czasopisma, a jedno z nich nazywało się *Mastharnorvod Tadavas Sornhulva*. Zastanawiała się, czy było to coś takiego jak *Kwartalny Przegląd Archeologiczny*, czy też raczej w stylu *Erotycznych Opowiadań*.

Mniejszych rozmiarów wiersz, pod tytułem, ewidentnie był numerem i datą wydania. Znaleźli już dostatecznie dużo rzeczy wydawanych w numerowanych seriach, by umożliwiło jej to identyfikację cyfr i określenie, że Marsjanie używali systemu dziesiętnego. To był numer tysiąc siedemset pięćdziesiąty czwarty, na Doma 14637. Co oznaczało, że Doma musiało być nazwą jednego z marsjańskich miesięcy. Słowo to pojawiało się przedtem już kilka razy. Natychmiast, pociągając wściekle z papierosa, zaczęła przekopywać się przez swoje notatki i stosy wcześniej już przetworzonych materiałów.

---

**N**a końcu stołu zaszurało krzesło i Sachiko zaczęła z kimś rozmawiać. Martha uniosła oczy i zobaczyła siadającego koło niej wielkiego mężczyznę, o rudych włosach i rumianej twarzy, ubranego w zielony mundur Sił Kosmicznych, z pojedynczą gwiazdką majora na ramionach. Ivan Fitzgerald, lekarz. Podnosił przyciski z książki podobnej do tej, odrestaurowanej przez dziewczynę ze służby zaopatrzeniowej.

– Ostatnio nie miałem czasu – mówił właśnie, odpowiadając na pytanie Sachiko. – Ta mała Finchley ciągle leży z tym, cokolwiek tam złapała, a ja nie jestem w stanie, jak do tej pory, poprawnie jej zdiagnozować. Musiałem wykonać badania na kulturach bakteryjnych, a cały wolny czas jaki mi pozostał, poświęcałem na przeprowadzanie sekcji okazów biologicznych dla Billa Chandlera. Bill w końcu znalazł ssaka. Wygląda jak jaszczurka i ma tylko cztery cale długości, ale jest prawdziwym ciepłokrwistym, rozmnażającym się płciowo, żyworodnym ssakiem łożyskowym. Kopie jamy i żywi się tym, co tutaj uchodzi za owady.



– Czy dla czegoś takiego, jest tu dostatecznie dużo tlenu? – spytała go Sachiko.

– Wydaje się że tak, przynajmniej nisko nad ziemią. – Fitzgerald poprawił opaskę swojej lupy, i opuścił ją na oczy. – Bill znalazł go w wąwozie, w dole, na dnie morza... Ha, ta strona wydaje się nienaruszona. Jeśli teraz uda mi się wziąć ją całą, w jednym kawałku...

Dalej kontynuował, mrużąc coś do siebie niesłyszalnie. Unosił leciutko stronę do góry, i jednocześnie wsuwał pod nią jeden z arkuszy przezroczystego plastiku, pracując z zegarmistrzowską precyzją. Nie miał delikatności małych rączek młodej Japonki, poruszających się zwinnie jak łapy kota myjącego pyszczek. Ale jego ruchy porównać można do parowego młota, precyzyjnie rozbijającego malutki orzeszek ziemny. Praca na wykopaliskach archeologicznych wymaga również pewnej subtelności ręki, ale Martha przez chwilę, z zazdrością i podziwem, przyglądała się pracy tej dwójki. Potem wróciła do swojej własnej roboty, kończąc analizę spisu treści.

Na następnej stronie rozpoczynał się pierwszy z wymienionych w nim artykułów, zawierał wiele nieznanych jej wcześniej słów. Odnosiła wrażenie, że musiał to być jakiś biuletyn naukowy albo techniczny, jednak mogło być to spowodowane tym, że tego typu literatura stanowiła przeważającą większość jej własnej lektury, przynajmniej jeśli chodzi o czasopisma. Wątpiła, by była to beletrystyka. Poszczególne akapity miały niezmienny, konkretny, rzeczowy wygląd.

W końcu Ivan Fitzgerald wydał z siebie krótkie, gwałtowne chrząknięcie.

– Ha! Mam to!

Ponownie uniosła głowę. Oddzielił już całą kartkę i wzmacniał ją od góry drugim kawałkiem plastiku.

– Jakież obrazki? – spytała go.

– Po tej stronie, nie ma. Zaczekaj chwileczkę. – Odwrócił kawałek papieru. – Po tej stronie też nic. – Popsikał sprayem arkusz plastiku, otaczający papier z drugiej strony, a następnie wyciągnął swoją fajkę i zapalił ją.

– Mam z tego niezłą zabawę, a w dodatku to dobre ćwiczenie dla rąk, tak więc nie wydaje mi się, abym miał się specjalnie skarżyć – powiedział.

– Ale Martho, powiedz mi tak uczciwie, czy myślisz, że ktokolwiek i kiedykolwiek zdoła z tego cokolwiek zrozumieć?

Sachiko uniosła swoją pincetą kawałek silikonowego plastiku, który Marsjanie używali jako papier. Miał niemal cal kwadratowy powierzchni.

– Spójrz tylko, na tym kawałku są trzy całe słowa – zapięła z zachwytem. – Ivan, wzięłeś do roboty łatwą książkę.

Fitzgerald nie dał się zbić z pantałyku.

– Te materiały są kompletnie wyprane ze znaczenia – kontynuował wątek. – Zawierały określone treści pięćdziesiąt tysięcy lat temu, kiedy je napisano, ale do dzisiaj nic już z nich nie pozostało.

Martha pokręciła przecząco głową.

- Znaczenie nie jest czymś, co może z czasem wyparować – nie zgodziła się z nim. – Obecnie te teksty mają tyle samo treści, co zawsze. Po prostu nie dowiedzieliśmy się jeszcze, jak ją odkodować.

- Ta różnica zdaje się być kompletnie bezsensowna – włączył się do rozmowy Selim von Ohlmhorst. – Nie istnieją już żadne sposoby, pozwalające na jej odkodowanie.

- Jakiś znajdziemy. – Jak sobie uświadomiła, powiedziała to raczej w celu dodania odwagi samej sobie, a nie zgłoszenia sprzeciwu.

- Niby jak? Przy pomocy rysunków i podpisów? Znaleźliśmy już wiele podpisanych rysunków, i co one nam dały? To podpis ma na celu objaśniać rysunek, a nie rysunek objaśniać podpis. Przypuśćmy, że jakiś obcy, który nie zna naszej kultury, znajdzie obrazek człowieka z białą brodą i wąsami, tnący kłodę na polana. Pomyśli, że podpis pod nim oznacza „Człowiek tnący drewno”. Skąd miałby wiedzieć, że tak naprawdę brzmi on: „Wilhelm II na wygnaniu w Doorn”?

Sachiko zdjęła swoją lupę i zapaliła papierosa.

- Przychodzi mi na myśl pewien rodzaj obrazków, opisujących podpisy – nie zgodziła się. – To obrazki z książek do nauki języków, tego rodzaju, jakich używamy w Służbie -- małe schematyczne rysunki, ze znajdującym się pod nimi słowem albo frazą.

- No cóż, oczywiście, jeżeli uda nam się coś takiego znaleźć... – zaczął von Ohlmhorst.

---

- **S**wego czasu, w latach pięćdziesiątych, Michael Ventris znalazł już coś podobnego – głos Huberta Penrose’a wtrącił się do rozmowy, tuż spoza jej pleców.

Odwróciła głowę w jego stronę. Pułkownik stał przy stole archeologów. Kapitan Field i pilot aerodynamy, już sobie poszli.

- Znalazł mnóstwo greckich spisów inwentarzowych z magazynów wojskowych – kontynuował Penrose. – Spisane były w piśmie Kreteńskim Linearnym B, a w nagłówku każdej listy znajdował się mały rysunek miecza, hełmu, trójnogu do gotowania albo koła rydwanu. To właśnie dało mu klucz do tego pisma.

- Pan pułkownik zaczyna stawać się całkiem niezłym archeologiem – skomentował to Fitzgerald. – Wszyscy tutaj, podczas tej ekspedycji, uczymy się nawzajem swoich specjalności.

- Słyszałem o tym już dawno temu, zanim jeszcze w ogóle zaczęto nawet myśleć o tej ekspedycji. – Penrose popukał papierosem o swoją złotą papierośnicę. – Dowiedziałem się o tym jeszcze przed Wojną Trzydziestodniową, w Szkole Wywiadu, kiedy byłem porucznikiem. Jako o osiągnięciu kryptoanalizy, a nie o odkryciu archeologicznym.

- Tak, analiza kryptograficzna – rzucił von Ohlmhorst. – Odczytanie znanego języka, zapisanego w nieznanym sposób. Listy Ventrisa były w znanym języku, grece. Ani on sam, ani nikt inny nie potrafił odczytać nawet słowa z języka minojskiego, dopóki nie znaleziono dwujęzycznych napisów greko-minojskich w 1963 roku. Ponieważ jedynie dzięki tekstom

dwujęzycznym, jeden język, znany już wcześniej, może posłużyć do poznania innego, nieznanego języka starożytnego. A jaką nadzieję, pytam was, możemy mieć na znalezienie czegoś podobnego tutaj? Martha, pracowałaś nad tymi marsjańskimi tekstami od czasu, kiedy tu wylądowaliśmy, przez ostatnie sześć miesięcy. Powiedz mi, czy znalazłaś choćby jedno słowo, któremu mogłabyś przypisać jakieś znaczenie w pozytywnym sensie?

– Tak, wydaje mi się, że mam jedno. – Z całej siły starała się, aby nie zabrzmiało to zbyt radośnie. – *Doma*. To jest nazwa jednego z miesięcy marsjańskiego kalendarza.

– Gdzie to znalazłaś? – spytał ją natychmiast von Ohlmhorst. – I w jaki sposób to ustaliłaś...?

– Tutaj. – Podniosła fotokopię i przekazała ją z rąk do rąk wzdłuż stołu. – Powiedziałabym, że to jest strona tytułowa czasopisma.

Milczał przez chwilę, spoglądając na kartkę.

– Tak. Ja również mogę się z tym zgodzić. Czy masz jakiś kawałek z reszty?

– Pracuję nad pierwszą stroną, pierwszego artykułu, który jest tu wyszczególniony. Poczekaj aż sama ją dokładniej przejrzę. Wszystko co znalazłam, jest na tej kupce, tutaj. – Opowiedziała mu, gdzie to odnalazła. – Wtedy tylko zebrałam to razem i przekazałam Geoffreyowi i Rosicie do zrobienia fotokopii. To jest pierwsza strona, jaką tak naprawdę dokładniej przejrzałam.

Starszy mężczyzna podniósł się na nogi, strząsając popiół tytoniowy z przedniej części swojej kurtki, i podszedł do miejsca w którym siedziała, kładąc stronę tytułową przed nią na stole i szybko przeglądając stos fotokopii.



– Tak, a tu jest drugi artykuł, na stronie ósmej, a następny tutaj. – Skończył przeglądać stosik fotokopii. – Brakuje kilku stron, na końcu ostatniego artykułu. To naprawdę nadzwyczajne. Zdziwiające, że coś takiego jak czasopismo, mogło przetrwać tak długo.

– No cóż, ten silikonowy materiał, używany przez Marsjan jako papier, jest całkiem trwały – zauważył Hubert Penrose. – Nie wydaje się, żeby już oryginalnie zawierał duże ilości wody lub jakichkolwiek innych płynów, tak więc nie wysycha z czasem.

– Och, to nie jest jakąś specjalną niespodzianką, że przetrwał sam materiał. Znaleźliśmy całkiem sporą liczbę książek i innych pisanych dokumentów, w doskonałym stanie. Ale jedynie naprawdę żywotna cywilizacja, cywilizacja zorganizowana może publikować czasopisma. A ta cywilizacja umierała już na setki lat przed jej ostatecznym końcem. Taka działalność jak wydawnicza, skończyła się być może nawet na tysiąc lat przed tym, zanim kompletnie wymarli.

– No cóż, zwróć uwagę, gdzie je znalazłam. W szafie, w piwnicy. Wrzucono je tam i kompletnie o nich zapomniano. A potem zostały przeoczone, kiedy odzierano budynek. Takie rzeczy się zdarzają.

Penrose podniósł stronę tytułową i przyglądał się jej uważnie.

– Nie wydaje mi się, aby były jakakolwiek wątpliwości, co do tego, czy jest to czasopismo, zupełnie żadne. – Ponownie popatrzył na tytuł, a jego wargi poruszyły się w milczeniu. – *Mastharnorvod Tadavas Sornhulva*. Ciekawe, co to znaczy. Ale ma pani rację, co do daty. *Doma* wydaje się być nazwą miesiąca. Tak, ma pani swoje słowo, doktor Dane.

Od stołu przy którym pracował, podszedł do nich Sid Chamberlain, widząc że dzieje się coś nadzwyczajnego. Po przyjrzeniu się stronie tytułowej i kilku stronom ze środka magazynu, zaczął szeptać coś do odpiętego od paska stenofonu.

– Nie próbuj tylko rozdmuchać tego do rozmiarów jakiejś wielkiej sprawy, Sid – ostrzegła go Martha. – Wszystko co mamy, to nazwa miesiąca, a Bóg jeden wie, ile nam zajmie zorientowanie się, o który miesiąc w ogóle chodzi.

– No cóż, jest to jednak jakiś początek, nieprawdaż? – nie zgodził się z nią Penrose. – Grotefend miał tylko jedno słowo „król”, kiedy zaczął odczytywać perskie pismo klinowe.

– Ale ja nie mam słowa o znaczeniu miesiąc, tylko nazwę miesiąca. Wszyscy znali imiona perskich władców już na długo przez Grotefendem.

– To żadna historia – wtrącił Chamberlain. – To co w tym odkryciu może zainteresować ludzi na Ziemi, to informacja że Marsjanie publikowali czasopisma, tak samo jak my. Coś tak zwyczajnego spowoduje, że Marsjanie będą wydawać się nam bardziej rzeczywiści. Bardziej ludzcy.

---

**D**o baraku weszło trzech mężczyzn, którzy zdejmowali właśnie swoje maski, hełmy i zbiorniki z tlenem, oraz ściągali grube pikowane ubrania. Dwóch z nich, byli to porucznicy Sił Kosmicznych, trzecim był dosyć młody

cywil, o krótko obciętych jasnych włosach, ubrany w kraciatą wełnianą koszulę. Tony Lattimer i jego pomocnicy.

– Nie mówcie mi tylko, że Martha w końcu coś znalazła w tej kupie śmieci? – spytał podchodząc do stołu. Sądząc z jego tonu, zdawał się pytać o żart wiejskiego półgłówka.

– Tak, nazwę jednego z marsjańskich miesięcy – wyjaśnił mu Hubert Penrose, pokazując fotokopię.

Tony Lattimer wziął ją, zerknął na zawartość i rzucił na stół.

– Brzmi wiarygodnie, oczywiście, ale to jedynie spekulacja. To słowo wcale niekoniecznie musi być nazwą miesiąca, może oznaczać „wydany”, „zatwierdzony”, „copyright” lub cokolwiek w tym stylu. Prawdę mówiąc, w ogóle nie wydaje mi się, aby założenie, że ta rzecz jest tworem podobnym do czasopisma, było czymś więcej niż tylko szalonym domysłem. – Zrezygnował z dalszych komentarzy na temat tej kwestii, i zwrócił się do Penrose’a. – Wybrałem kolejny budynek, do którego możemy wejść, ten z taką stożkową konstrukcją od góry. W środku powinien być w całkiem niezłym stanie. Ten stożkowy dach powinien zapobiegać zbieraniu się pyłu, a zewnątrz nigdzie nie wydaje się zniszczony ani rozbity. Poziom gruntu jest wyżej niż w przypadku innych budynków i dochodzi do siódmego piętra. Znalazłem dobre miejsce i wywierciłem dziury pod ładunki, a jutro wysadzę w ścianie otwór, tak więc gdyby znalazł pan kilku wolnych ludzi do pomocy, to bezzwłocznie będziemy mogli zacząć jego badania.

– Tak, oczywiście, doktorze Lattimer. Mogę przydzielić panu kilkunastu żołnierzy, a jak przypuszczam bez trudu znajdzie pan paru cywilnych ochotników – zapewnił go Penrose. – Czy będzie miał pan jakieś potrzeby związane ze sprzętem?

– Och, jakieś sześć ładunków kruszących. Wszystkie one będą mogły zostać odpalone wspólnie. I zwykłe sprawy, jeśli chodzi o oświetlenie, narzędzia do kruszenia i kopania, czy też wyposażenie do wspinaczki, w razie gdybyśmy natknęli się na jakieś budzące wątpliwości schody. Podzielimy się na dwie grupy. Na początku nikt tam nie powinien wchodzić, bez towarzystwa wykwalifikowanego archeologa. Być może trzy grupy, jeśli Martha zdoła się oderwać od swojego katalogu usystematyzowanych niezrozumiałości, który tworzy już dostatecznie długo, by dla odmiany zająć się jakąś prawdziwą pracą.

Poczuła jak gniew ścisną jej pierś, a twarz sztywnieje. Zagryzła mocno wargi, by zdusić gniewną ripostę, podczas gdy Hubert Penrose odpowiadał w jej imieniu.

– Doktor Dane pracuje równie ciężko i zajmuje się równie ważnymi rzeczami, co pan – oznajmił opryskliwie. – Skłonny byłbym nawet powiedzieć, że ważniejszymi rzeczami.

Von Ohlmhorst wyraźnie był zmartwiony. Rzucił natychmiast okiem w stronę Sida Chamberlaina, a potem pośpieszenie przeniósł wzrok w inną stronę. Obawiał się, że historia o niesnaskach pomiędzy archeologami może wyciec na zewnątrz.

– Opracowanie systemu wymawiania głosek, dzięki któremu język marsjański może zostać transliterowany, było osiągnięciem najwyższej wagi – powiedział. – A Martha dokonała tego niemal bez żadnej pomocy.

– A w każdym razie bez żadnej pomocy ze strony doktora Lattimera – dodał Penrose. – Pewną część pracy wykonali kapitan Field i porucznik Koremitsu, nawet ja sam troszeczkę pomogłem. Ale dziewięćdziesiąt procent z tego zrobiła sama.

– W czysto arbitralny sposób – pogardliwie rzucił Lattimer. – Przecież nawet nie wiemy, czy Marsjanie wydawali dźwięki podobne do naszych.

– O nie, to akurat wiemy – zaprzeczył Ivan Fitzgerald, czując się bezpiecznie na własnym gruncie. – Nie widziałem co prawda żadnej rzeczywistej czaszki Marsjanina -- te istoty wydawały się być bardzo czułe na punkcie swoich zwłok po śmierci -- ale na podstawie rzeźb, obrazów i rysunków które widziałem, zaryzykowałbym twierdzenie, że ich organy głosowe były identyczne jak nasze.

– No dobrze, załóżmy że ma pan rację. Przyznaję również, że możliwość wygrzechotania nazwisk tych wszystkich marsjański notabli, których posągi odnajdujemy, robi duże wrażenie. A ilekroć jesteśmy w stanie przypisać nazwy jakimś miejscom, to brzmią one dużo lepiej niż ta weterynarska łacina, którą popstrzyli mapę Marsa dawni astronomowie – stwierdził Lattimer. – To co budzi mój sprzeciw, to marnowanie przez nią czasu nad tym materiałem, z którego nikt nie będzie w stanie odczytać ani słowa, nawet jeżeli grzebałaby się w tych listach do czasów kiedy na tym mieście narosnie warstwa kolejnych stu stóp osadu, podczas gdy do wykonania jest tak wiele prawdziwej pracy, a my musimy borykać się z takim niedoborem pracowników.

Po raz pierwszy sprawa została postawiona tak mocno i przy pomocy takiej tyrady. Cieszyła się, że powiedział to Lattimer, a nie Selim von Ohlmhorst.

– Chciałeś powiedzieć, że to nie daje takiego poklasku w oczach widowni, jak wykopywanie kolejnych posągów.

W tej samej chwili dostrzegła, że jej strzał trafił w dziesiątkę. W odpowiedzi Lattimer, rzucając kątem oka na Chamberlaina, oznajmił:

– Chciałem powiedzieć, że próbujesz zrobić coś, o czym każdy archeolog, ciebie samą włączając, powinien wiedzieć, że jest niemożliwe. Nic mi do tego, że wystawiasz na hazard swoją reputację zawodową i robisz z siebie pośmiewisko. To, czemu się sprzeciwiam, to sytuacja kiedy błędy jakiegoś archeologa, dyskredytują całą sprawę w oczach opinii publicznej.

I to wydawało się boleć Lattimera najbardziej. Właśnie zbierała się do odpowiedzi, kiedy końcówka komunikatora ostro świsnęła, a następnie zaskrzeczała:

– Czas na koktajl! Godzina do kolacji. Koktajle przygotowane w bibliotece, Barak Cztery.

**B**iblioteka, pełniąca również funkcję salonu, i miejsca wspólnych spotkań, była już pełna ludzi. Większość zebranego tłumu kłębiła się wokół długiego stołu, zrobionego z arkuszy szklanego plastiku, wykorzystywanych wcześniej jako panele naścienne w jednym ze zrujnowanych budynków. Nalała sobie co tam było pod ręką w zastępstwie martini, i ruszyła ze szklanką do miejsca, gdzie samotnie siedział Selim von Ohlmhorst.

Przez chwilę rozmawiali o budynku, który właśnie skończyli badać, potem podryfowali w stronę wspomnień dotyczących prac jakie prowadzili na Ziemi -- von Ohlmhorst w Azji Mniejszej, nad Imperium Hetytów, a ona w Pakistanie, na wykopaliskach miasta cywilizacji Harappa. Dopili swoje drinki, złożone z wielu rozmaitych składników, alkoholu i wonnych ekstraktów z roślinności marsjańskiej, a następnie von Ohlmhorst wziął obie szklanki i udał się do stołu, aby je ponownie napełnić.

- Wiesz, Martho - powiedział jej, kiedy wrócił, - Tony miał rację co do jednej rzeczy. Ryzykujesz swoją pozycję zawodową i reputację. Twierdzenie, że taki kompletnie martwy język, może zostać odkodowany, jest wbrew całemu doświadczeniu archeologicznemu. Pomiędzy wszystkimi poznanymi językami starożytnymi, istniała jakaś ciągłość. Dzięki znajomości greki, Champollion nauczył się odczytywać egipskie hieroglify. Dzięki znajomości egipskiego, poznano język Hetytów. To dlatego właśnie ty i twoi koledzy nigdy nie zdołaliście przetłumaczyć hieroglifów z Harappa. Tam tego rodzaju ciągłość nie istniała. Jeżeli upierasz się, że taki całkowicie martwy język może zostać odczytany i zrozumiany, twoja reputacja musi z tego powodu ucierpieć.

- Słyszałam, jak kiedyś pułkownik Penrose mówił, że oficer który boi się zaryzykować swoją wojskową reputację, rzadko kiedy taką reputację zyskuje. To samo dotyczy również i nas, naukowców. Jeżeli naprawdę chcemy odkryć coś nowego, musimy być gotowi do ponoszenia ryzyka popełnienia pomyłki. A ja dużo bardziej jestem zainteresowana odkrywaniem nowych rzeczy, niż zachowaniem swojej reputacji.

Popatrzyła na drugą stronę pomieszczenia, gdzie razem z Gloria Standish, siedział Tony Lattimer, z zapałem coś jej opowiadając, podczas gdy Gloria sączyła udawane martini i słuchała go. Gloria była liderką wśród kandydatek do tytułu Miss Marsa, jeżeli ktoś lubił posągowe blondynki o obfitych piersiach, ale Tony nadszkakiwałby jej równie gorliwie, nawet gdyby wyglądała jak zła wiedźma z „Czarodzieja z Krainy Oz”. Gloria była bowiem przydzieloną do ekspedycji komentatorką Pan-Federation Telecast System.

- Wiem, że jesteś - powiedział do niej stary Turko-Niemiec. - To właśnie dlatego, kiedy zapytano mnie o podanie nazwiska kolejnego archeologa dla tej ekspedycji, wymieniłem twoje.

Nie zaproponował Tony'ego Lattimera. Lattimer został wepchnięty do składu ekspedycji poprzez swój uniwersytet. Osiągnięcie tego wymagało pociągnięcia za wiele sznurków na wysokim szczeblu i chętnie by poznała kulisy całej tej historii. Jej samej udało się pozostać z dala od uniwersytetów i polityki uczelnianej. Wszystkie prowadzone przez nią

wykopaliska, sponsorowane były przez nie-akademickie fundacje i muzea sztuki.

– Masz doskonałą pozycję, dużo lepszą niż moja własna, kiedy byłem w twoim wieku. To właśnie dlatego tak mnie drażni, kiedy widzę, jak ją narażasz, upierając się przy zdaniu, że język marsjański może zostać przetłumaczony. Naprawdę nie rozumiem, jak możesz mieć nadzieję na odniesienie sukcesu w tej kwestii.

Wzruszyła ramionami i wypłała kolejny łyk koktajlu, a potem zapaliła następnego papierosa. Próby wysłowienia czegoś, co czuła tylko ona sama, stawały się nudne.

– Nie tylko mogę mieć nadzieję, ale ja tego dokonam. Być może znajdę coś podobnego do tej książki obrazkowej, o której mówiła nam Sachiko. Może elementarz dla dzieci. Z pewnością Marsjanie musieli mieć rzeczy tego rodzaju. A jeżeli mi się nie uda, to znajdę coś innego. Jesteśmy tu dopiero od sześciu miesięcy. Jeżeli będę musiała, mogę czekać na to przez resztę mojego życia, ale kiedyś tego dokonam.

– Ja nie mogę czekać tak długo – odparł von Ohlmhorst. – Reszta mojego życia, to będzie tylko parę lat, a kiedy przyleci *Schiaparelli*, wracam na Ziemię na *Cyrano*.

– Szkoda, że tak zdecydowałaś. Dla archeologii to jest cały nowy świat. Dosłownie.

– Tak. – Dokończył koktajl i popatrzył na swoją fajkę, jak gdyby zastanawiając się, czy zapalić ją teraz, tuż przed kolacją, a potem wsadził ją z powrotem do kieszeni. – Cały nowy świat... Ale ja dorastałem w starym, i to nie jest dla mnie. Spędziłem całe swoje życie badając Hetytów. Potrafię mówić językiem Hetytów, chociaż może król Muwatallis nie byłby w stanie zrozumieć mojego współczesnego tureckiego akcentu. A tutaj musiałbym nauczyć się mnóstwa nowych rzeczy -- chemii, fizyki, techniki, jak wykonywać testy analityczne dla stalowych belek, stopów srebra z berylem, plastików i silikonów. Czuję się dużo pewniej w przypadku cywilizacji, która jeździła na rydwanach, walczyła przy użyciu mieczy i właśnie dowiedziała się jak wytapiać żelazo. Mars jest dla ludzi młodych. Ta wyprawa stworzy kadrę liderów -- mówię nie tylko o ludziach z Sił Kosmicznych, którzy będą dowódcami całych ekspedycji, ale również o nas, naukowcach. A ja jestem po prostu generałem staromodnej kawalerii, który nie potrafi nauczyć się dowodzenia czołgami i samolotami. Ty będziesz miała czas na to, aby dowiedzieć się wszystkiego o Marsie. Ja, nie.

Ponadto jego reputacja jako dziekana korpusu hetytologów, była solidna i bezpieczna, dodała w myślach. Potem poczuła wstyd z powodu tej myśli. On nie należał do tej samej kategorii ludzi, co Tony Lattimer.

– Przyleciałem tutaj wyłącznie dlatego, by puścić sprawy w ruch – mówił dalej. Rząd Federacji uważał, że najlepiej nadaje się do tego stara, doświadczona ręka. No cóż, teraz już ruszyliśmy. Ty, Tony i ten, kto przyleci na pokładzie *Schiaparellego*, będziecie musieli ciągnąć to dalej. Tak jak sama mówiłaś, to jest cały nowy świat. Tutaj badamy tylko miasto ostatniej marsjańskiej cywilizacji. Dalej macie Późną Kulturę Wyżyn, Budowniczych Kanałów i te wszystkie cywilizacje, rasy i imperia, które je



poprzedzały, prościutko aż do marsjańskiej epoki kamiennej. – Zawahał się na chwilę. – Martho, nie masz nawet pojęcia, czego jeszcze będziecie musieli się dowiedzieć. W tej chwili, to nie czas, by zaczynać za wąsko się specjalizować.

---

**W**szyscy wysiedli z ciężarówki, rozprostowując nogi, i spoglądali na drogę prowadzącą do wysokiego budynku z dziwną stożkową pokrywą, spoczywającą krzywo na jego wierzchołku. Cztery małe postaci, które robiły coś przy jego ścianie, wsiadły do jeepa i powoli ruszyły nim z powrotem. Najmniejsza z nich, Sachiko Koremitsu, rozwijała za nimi przewód elektryczny. Kiedy dojechali do ciężarówki, zatrzymali się i wysiedli z jeepa. Sachiko wskoczyła na ciężarówkę i przymocowała wolny koniec kabla do jądrowej baterii elektrycznej. Niemal w tej samej chwili ze ściany budynku buchnął obłok brudnego szarego dymu i pomarańczowego pyłu, a sekundę później doleciał do nich huk kilku wybuchów.

Martha, Tony Lattimer i major Lindeman, wraz z pozostałymi wsiedli do ciężarówki, zostawiając jeepa stojącego na drodze. Kiedy dojechali do budynku, w ścianie widniała wysadzona odpowiednio szeroka dziura. Lattimer umieścił posiadane ładunki pomiędzy dwoma oknami. Oba zostały wysadzone, razem ze znajdującym się pomiędzy nimi fragmentem muru, który leżał na ziemi w jednym kawałku. Martha przypominała sobie pierwszy budynek, do którego weszli. Jeden z oficerów Sił Kosmicznych podniósł kamień i rzucił go w jedno z okien, myśląc że to wystarczy i nie ma potrzeby sięgania po silniejsze środki. Kamień odbił się od szyby. Oficer wyciągnął pistolet -- wszyscy wtedy jeszcze nosili przy sobie broń, opierając się na zasadzie że to, czego nie wiedzieli o Marsie, łatwo mogło wyrządzić im krzywdę -- i wystrzelił cztery razy. Pociski zrykoszetowały, z przenikliwym wizgiem. Na metalowej osłonie okna pojawiły się cztery miedziane rysy, a od samej szyby odprysnął jedynie mały kawałek. Ktoś spróbował strzelby. Lecący z prędkością 4000 stóp na sekundę pocisk spękał szkło-podobną tafłę, nie przebijając jej. Aby wyciąć okno przy użyciu palnika acetylenowo-tlenowego, potrzebowali całej godziny. Ludzie z laboratorium, na pokładzie statku, ciągle jeszcze próbowali stwierdzić, z czego składał się ten materiał.

Tony Lattimer podszedł do otworu i zamiótł promieniem reflektora we wszystkie strony, klnąc ze złością pod nosem. Głośnik hełmu wzmacniał i pogrubiał jego głos.

– Myślałem, że dziura będzie prowadziła na korytarz, a wylądowaliśmy w jednym z pomieszczeń. Ostrożnie, podłoga jest tutaj jakieś dwie stopy w dole, a wewnątrz, zaraz za ścianą, leży mnóstwo gruzu pozostałego po wybuchu.

Wszedł do środka przez otwór, a pozostali zaczęli wyciągać z ciężarówki sprzęt -- szpadle, kilofy, łomy, sanie do ciągnięcia, przenośne reflektory, aparaty fotograficzne, materiały do rysowania, rozkładane drabinki, a nawet liny alpinistyczne, raki i czekany. Hubert Penrose założył na ramiona coś, co wyglądało jak surrealistyczny karabin maszynowy, ale

w rzeczywistości było zasilanym z jądrowej baterii elektrycznej, młotem pneumatycznym. Martha wybrała jeden ze spiczasto zakończonych czekanów górskich, którym można było zarówno kopać, jak i przecinać, wbijać coś albo podważać, a nawet podpierać się na nierównym podłożu.

Zabrudzone i pokryte zeskorupiałym pyłem pięćdziesięciu milleniów okna, dawały w środku jedynie ciemny półmrok. Nawet otwór wejściowy, znajdujący się w porannym cieniu, oświetlał jedynie niewielki fragment podłogi. Ktoś pstryknął włącznikiem reflektora, kierując jego światło na sufit. Duże pomieszczenie było puste i ogołoczone. Jedyne co znaleźli to gruba warstwa pyłu na podłodze i obecnie poczerwieniałe, a niegdyś białe ściany. To mogło być jakieś duże biuro, ale w środku nie pozostało nic, co mogłoby wskazywać na sposób jego wykorzystania.

– Ten został ogołoczone, aż do siódmego piętra! – zawołał ze złością Lattimer. – Poziom ulicy będzie kompletnie wyczyszczony.

– Zróbmy w nim więc kwatery i sklepy – stwierdził Lindeman. – W połączeniu z innymi, pozwoli nam to zająć się wszystkimi którzy przylecą na *Schiaparellim*.

– Zdaje się, że wzdłuż tej ściany stało wiele urządzeń elektrycznych lub elektronicznych – skomentował jeden z oficerów Sił Kosmicznych. – Kilkanaście gniazdek elektrycznych. – Potarł rękawicą pokrytą pyłem ścianę, a potem poskrobał butem podłogę. – Widać nawet miejsca, skąd te rzeczy zostały powyłamywane.

---

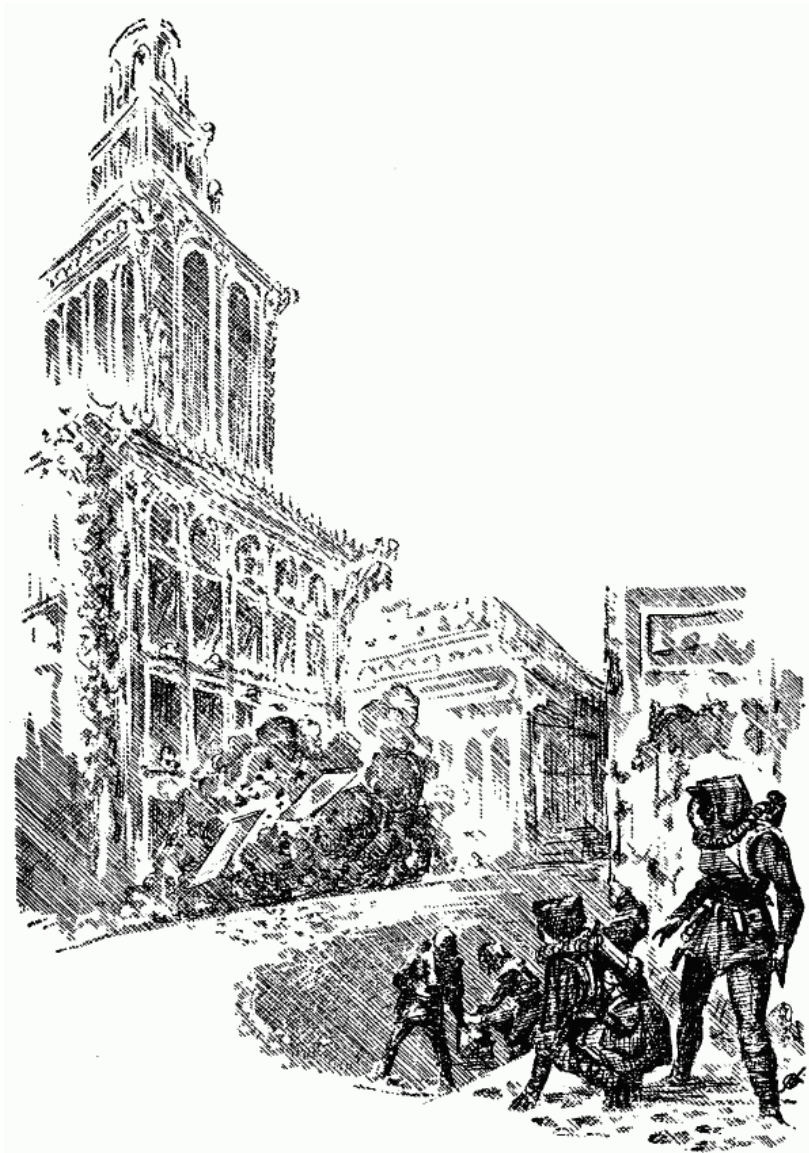
**D**rzwi, jedno z tych typowych rozsuwanych na obie strony rozwiązań, jakich używali Marsjanie, były zamknięte. Selim von Ohlmhorst próbował je otworzyć, ale mocno się zablokowały. Od czasu gdy drzwi zostały zamknięte, części metalowych zasuw zastały się razem, i każda molekula wręcz szepiła się z molekułą. Podszedł do nich Hubert Penrose, z młotem pneumatycznym, aby użyć jego ostrego jak włócznia dłuta. Ustawił dłuto na złączeniu pomiędzy płytami drzwi, oparł młot o biodro, i nacisnął guzik włącznika. Młot zahuczał krótko, jak broń, którą przypominał, a drzwi otworzyły się kilka cali w obie strony, a następnie zatrzymały się. Przypuszczalnie do wnek, w które się wsuwały dostało się tak dużo pyłu, że skrzydła z obu stron się zablokowały.

To była znana rzecz. Mieli z tym do czynienia za każdym razem, kiedy musieli otwierać drzwi siłą, tak więc byli na to przygotowani. Ktoś wyszedł na zewnątrz i przyniósł siłownik rozporowy, tak więc w końcu jeden z płytów opornych drzwi został wsunięty w ościeżnicę. To wystarczyło by przenieść przez nie światła i wyposażenie, z pomieszczenia do znajdującego się dalej korytarza. Mniej więcej połowa z pozostałych drzwi była otworzona. Nad każdymi z nich widniało jedno słowo: *Darfhulva*.

Jedna z cywilnych ochotniczek, pani profesor ekologii natury z Penn State University, popatrzyła w jedną i w drugą stronę korytarza.

– Wiecie co... – oznajmiła. – Czuję się tu jak w domu. Myślę, że tutaj był college, albo coś podobnego, a to były sale lekcyjne. To słowo, tam nad drzwiami, to była nazwa wykładanej dyscypliny naukowej, albo

katedry. A urządzenia elektroniczne w tym pomieszczeniu, stały wszystkie w takim miejscu, by cała grupa mogła siedzieć do nich przodem. Audiowizualne pomoce lekcyjne.



– Dwudziestopięciopiętrowy uniwersytet? – zadrwił z niej Lattimer. – Przecież budynek tych rozmiarów, mógłby pomieścić ze trzydzieści tysięcy studentów.

– Być może aż tylu ich było. W swoim szczytowym okresie, to było duże miasto – wtrąciła się Martha, motywowana głównie chęcią sprzeciwienia się Lattimerowi.

– Ale pomyśl tylko o zamieszaniu na korytarzach, za każdym razem, kiedy zmieniali salę. Przejście wszystkich z jednego piętra na drugie, w obie strony, zabierałoby dobre pół godziny. – Zwrócił się do von Ohlmhorsta. – Idę do góry, na wyższe piętra. To miejsce zostało złupione i oczyszczone aż dotąd, ale jest szansa, że wyżej może coś się uchowało – oznajmił.

– Na razie ja zostanę na tym piętrze – odparł Turko-Niemiec. – Potem wielu ludzi będzie tutaj wchodziło i wychodziło, wiele rzeczy będzie wyciąganych na zewnątrz i wnoszonych do środka. Powinniśmy to miejsce przedtem dokładnie sprawdzić i udokumentować. Wtedy ludzie majora Lindemanna będą mogli tutaj wykonywać nawet najgorszą robotę.

– A więc, jeżeli nikt inny nie chce, to ja zajmę się dołem – powiedziała Martha.

– Pójdę z panią – przyłączył się do niej Hubert Penrose. – Jeżeli niższe piętra nie będą miały żadnej wartości archeologicznej, przerobimy je na kwatery mieszkalne. Podoba mi się ten budynek. Daje każdemu na tyle dużo miejsca, by nie plątał się pod nogami innych. – Popatrzył wzdłuż korytarza. – Gdzieś na środku powinniśmy znaleźć jakieś schody lub eskalatory.

---

**K**orytarz pod nogami również był grubo zaścielany pyłem. Większość z otwartych pomieszczeń ziała pustką, ale w kilku z nich pozostało nieco mebli, między innymi małe biurka z siedzeniami. Oryginalna twórczyni teorii uniwersytetu, wskazała na nie jako na coś, co można było znaleźć przede wszystkim w salach wykładowych. Po obu bokach korytarza znaleźli konstrukcje eskalatorów, prowadzące w górę i w dół, a kolejne położone były z prawej strony, w poprzecznym pasażu.

– A więc to w taki sposób radzili sobie z przemieszczaniem studentów między klasami – zauważyła Martha. – I mogę się założyć, że tam dalej, z przodu, będzie jeszcze więcej schodów.

Zatrzymali się w miejscu, w którym korytarz kończył się, przechodząc we wielki, kwadratowy hol główny. Po obu jego bokach znajdowały się windy, i cztery pary eskalatorów, z których nadal można było korzystać, jako ze zwykłych schodów. Ale to, co natychmiast przyciągnęło ich uwagę, i czemu zaczęli się z zaciekawieniem przyglądać, to były ściany, a właściwie, pokrywające je freski.

Pociemniały mocno z brudu -- próbowała sobie wyobrazić jak mogły wyglądać oryginalnie, a jednocześnie starała się oszacować nakłady pracy, jakich wymagało będzie ich oczyszczenie -- ale nadal były widoczne, podobnie jak wymalowane nad nimi na każdej ze ścian, złotymi literami, słowo *Darfhulva*. W tej właśnie chwili uświadomiła sobie, że na podstawie tych fresków, znalazła w końcu znaczenie swojego pierwszego marsjańskiego słowa. Przedstawiały one olbrzymią historyczną panoramę, namalowaną na kolejnych ścianach, w kolejności zgodnej z ruchem wskazówek zegara. Grupa ubranych w skóry dzikusów, kucających wokół ognia. Myśliwi z łukami i strzałami, niosący zdobycz złożoną z nieco podobnych do świń zwierząt. Koczownicy jadący na długonogich, pełnych gracji wierzchowcach, wyglądających jak bezrogie jelenie. Chłopi siejący i zbierający plony. Zbudowane z błota wiejskie lepianki i miasta. Procesje złożone z kapłanów i wojowników. Bitwy z użyciem mieczy i łuków, a dalej dział i muszkietów. Galery, statki żaglowe, statki nie posiadające widocznych mechanizmów napędowych i samoloty. Zmieniające się

ubioiry, broń, maszyny i style architektoniczne. Bogate, urodzajne tereny, stopniowo przechodzące w jałowe pustynie i sawanny -- czasy wielkiej suszy na planetarną skalę. Budowniczości Kanałów -- ludzie z maszynami, w których można było rozpoznać koparki i dźwigi na parę, kopiący, przebijający się i budujący drogi wodne, przez puste równiny. Kolejne miasta -- morskie porty na kurczących się oceanach. Zmniejszające się, na wpół wyludnione miasta. Opuszczone miasto, z czterema niewielkimi, humanoidalnymi postaciami i pojazdem podobnym do wojskowego transportera, na środku porośniętego zielskim placu. Oni sami i ich pojazd wyglądali na bardzo małych, na tle olbrzymich, pozbawionych życia budynków, które ich otaczały. Nie miała najmniejszych wątpliwości. Słowo *Darfhulva* oznaczało historię.

- Cudownie! - zawołał von Ohlmhorst. - Cała historia tej rasy. Przecież, jeżeli malarz przedstawił dla każdego okresu właściwe stroje, broń i maszyny, i dobrze uchwycił cechy styli architektonicznych, to będziemy mogli podzielić historię tej planety na ery, okresy i cywilizacje!

- Możesz spokojnie założyć, że one są wierne. Wydział tego uniwersytetu, nalegałby na zachowanie wierności fresków w Katedrze -- *Darfhulva* -- Historii - stwierdziła Martha.

- Tak! *Darfhulva* -- historia! A twój magazyn był czasopismem *Sornhulva*! - wykrzyknął Penrose. - Masz swoje słowo, Martho!

Dłuższą chwilę zajęło jej, zanim zdała sobie sprawę, że zwrócił się do niej po imieniu, a nie per doktor Dane. Nie była pewna, czy nie był to nawet większy sukces, niż poznanie pierwszego słowa języka marsjańskiego. Albo bardziej pomyślny początek czegoś.

- Osobiście, przypuszczam, że *hulva* znaczy coś podobnego do nauki lub wiedzy, albo badań. Łączone jest z innymi określeniami, odpowiednik naszej logii. A *darf* powinno oznaczać coś takiego jak przeszłość, dawne czasy, wydarzenia z dziejów, czy kroniki.

- To daje ci trzy słowa, Martho! - ucieszyła się Sachiko. - Dokonałaś tego!

- Nie bądźmy za szybcy - powiedział Lattimer, tym razem już bez cienia drwiny. - Mogę się z tym zgodzić, że *darfhulva* jest marsjańskim słowem, oznaczającym historię, jako dziedzinę badań. Przyznaję również rację, co do tego że *hulva* słowem ogólnym, a *darf* modyfikatorem, który uściśla o który temat chodzi. Ale co do przypisywania szczegółowych znaczeń, to nie możemy tego robić, ponieważ po prostu nie wiemy, jaki był sposób myślenia Marsjan, naukowy czy jakiś inny.

Przerwał raptownie, zaskoczony przez błękitno-białe światło, które rozbłysło nagle po wejściu oświetleniowców Sida Chamberlaina. Kiedy ucichło furkotanie kamery, jako pierwszy odezwał się właśnie Chamberlain.

- To jest największa rzecz, jaką do tej pory znaleźliśmy. Cała historia Marsa, od epoki kamiennej, aż po sam koniec, i wszystko to na tych czterech ścianach. Filmuję to na szybko, ale będziemy potem nadawać w zwolnionym tempie, od początku, do końca. Tony, chciałbym żebyś podkładał do tego głos, komentarze w locie, interpretacja każdej sceny, kiedy się pojawi. Zrobisz to?

Czy on to zrobi! pomyślała sobie Martha. Gdyby miał ogon, to na samą myśl o tym, zaczęłyby merdać.

– No cóż, na innych piętrach powinno być więcej fresków – powiedziała Martha. – Kto chce iść z nami na dół?

Natychmiast zgłosiła się Sachiko. Swoje towarzystwo zaofiarował również Ivan Fitzgerald. Sid zdecydował się pójść do góry, z Tonym Lattimerem, a Gloria Standish postanowiła się do nich przyłączyć. Większość grupy miała zostać na siódmym piętrze, aby pomóc Selimowi von Ohlmhorstowi, przebadac je w całości. Po kilku wstępnych szturchnięciach konstrukcji ruchomych schodów, szpicem rączki przyniesionego czekana, Martha poprowadziła swój zespół na dół.

---

**S**zóste piętro zajmowała również *Darfhulva*, sądząc po charakterze fresków, historia militarna i technologiczna. Rozejrzeli się po holu głównym i ruszyli w dół, na piąte. Wyglądało podobnie jak poprzednie, poza tym, że wielki czworokąt wypełniony był zakurzonymi meblami i pudłami. Ivan Fitzgerald, który niósł reflektor, z wolna omiótł nim dookoła. Tutaj freski na ścianach przedstawiały gigantycznych rozmiarów Marsjan, z wyglądu tak podobnych do ludzi, że wydawali się Marcie członkami jej własnej rasy. Każdy z nich trzymał jakiś przedmiot -- książkę, albo próbkę laboratoryjną, albo jakiś element aparatury naukowej, a tło dla tych postaci stanowiły sceny z laboratoriów i fabryk, płomienie i dym, rozbłyski piorunów. Słowo napisane u góry każdej z czterech ścian, było jednym z już im znanych -- *Sornhulva*.

– Hej, Martho, to jest tamto słowo! – zawołał Ivan Fitzgerald. – To w tytule twojego czasopisma! – Przyjrzał się jeszcze raz obrazom. – Chemia albo fizyka.

– Chyba obie razem. – Zastanawiał się Hubert Penrose. – Wydaje mi się, że Marsjanie nie robili między nimi jakiegoś ostrego rozróżnienia. Popatrzcie tylko, ten starszy gość z tymi postrzępionymi bokobrodami, musi być wynalazcą spektroskopu. Trzyma go w swoich dłoniach, a za nim, na ścianie, widać tęczę. A ta namalowana dalej kobieta, w niebieskim roboczym kombinezonie, zajmowała się chemią organiczną. Spójrzcie na te diagramy łańcuchów polimerów, za nią. Jakie słowo mogłoby oddawać istotę chemii i fizyki, traktowanych jako jeden dział nauki?

– *Sornhulva* – myślała na głos Sachiko. – Jeżeli *hulva* oznacza coś podobnego do nauki, *sorn* musi oznaczać materię, substancję, albo obiekt fizyczny. Miałaś rację, Martho, w całej rozciągłości. Cywilizacja podobna do tej, musiała z całą pewnością pozostawić po sobie podobne rzeczy, które same się objaśniają.

– To jeszcze bardziej zetrze ten uśmiezek wyższości z twarzy Tony'ego Lattimera – z uciechą zauważył Fitzgerald, kiedy schodzili, po nieruchomych schodach w dół, na kolejne piętro. – Tony pragnie zostać grubą rybą. Kiedy ktoś chce zostać grubą rybą, to nie może znieść nawet myśli o tym, że ktoś mógłby zostać jeszcze grubszą rybą. A ktokolwiek

zacznie odczytywać ten język, stanie się najgrubszą rybą, jaką kiedykolwiek znała archeologia.

To była prawda. Nigdy wcześniej nie myślała o tym w ten sposób, a teraz próbowała nie myśleć o tym w ogóle. Wcale nie chciała zostać grubą rybą. Chciała nauczyć się czytać teksty w języku marsjańskim i dowiedzieć się jak najwięcej o Marsjanach.

Dwa odcinki ruchomych schodów niżej, wyszli na balkon wokół wielkiego holu głównego, na poziomie ziemi. Podłoga leżała czterdzieści stóp pod nimi, a sufit znajdował się trzydzieści stóp w górze. Ich światła wyłapywały w dole obiekt za obiektem: pośrodku olbrzymią grupę wyrzeźbionych postaci, jakiegoś typu pojazd motorowy, podniesiony na kołach w celu dokonania napraw, rzeczy wyglądające na karabiny maszynowe i działka szybkostrzelne, długie stoły, na blatach których, kurz pokrywał mnóstwo różnych drobiazgów. Obok stołów stały kolejne maszyny, skrzynie i kontenery.

---

**P**okonali drogę na dół i wędrowali przez ten cały bałagan, na każdą rzecz, jaką dostrzegli, przegapiając setkę innych, dopóki nie znaleźli eskalatora, ze schodami prowadzącymi do piwnicy. Dokładniej mówiąc, pokonali trzy poziomy piwnic, jeden pod drugim, aż w końcu stanęli u podnóża ostatnich schodów, na gołej, betonowej podłodze. Omiatali reflektorami stopy pudeł, beczek i bębnow, oraz kupki sproszkowanego pyłu. Pudła były z plastiku -- w tym mieście nikt jeszcze nie znalazł niczego zrobionego z drewna -- a beczki i bębny metalowe lub ze szkła, czy też jakiejś szklopodobnej substancji. Wydawały się nienaruszone z zewnątrz. Kupki proszku mogły być pozostałością materii organicznej, albo jakiegoś innego materiału, niegdyś zawierającego płyny. Tutaj, na dole, poza zasięgiem wiatrów i pyłów pustyni, po wyginięciu drobnoustrojów wywołujących rozkład, główną siłą niszczącą było wysychanie.

Na dole znajdowały się także pomieszczenia dawnych chłodni. Jedną z nich udało im się otworzyć, przy użyciu czekana Marthy i podobnego do pistoletu, młotka wibracyjnego, który Sachiko nosiła przyczepiony do paska. W środku znaleźli wysuszone stopy pozostałości po najróżniejszych roślinach i zeschnięte na wiór kawałki mięsa. Próbkę tych materiałów, przesłane na statek, dzięki datowaniu metodą radioaktywnego izotopu węgla, powinny dać wiarygodne oszacowanie tego, jak dawno temu zamieszkały był ten budynek. Urządzenie chłodnicze, radykalnie odmienne od produkowanych przez cywilizację ziemską, było zasilane elektrycznie. Sachiko i Penrose, szperając w jego pobliżu, znaleźli przełączniki, znajdujące się ciągle w pozycji włączone. Maszyna przestała działać wyłącznie z powodu awarii zasilania, jakiegokolwiek by nie było jego źródło.

Środkowa piwnica również była wykorzystywana, a przynajmniej pod koniec, jako magazyn. W połowie powierzchni przecinała ją ściana, w której znaleźli tylko jedne drzwi. Forsowanie ich siłą zajęło im ponad pół godziny, i dochodzili już właśnie do punktu, w którym chcieli posłać na górę, po ciężki sprzęt, kiedy drzwi poddały się na tyle, aby można było

przecisnąć się przez nie do środka. Fitzgerald, który wszedł jako pierwszy, niosąc światło, zatrzymał się jak wryty, rozejrzał się dookoła, a następnie wyrwał mu się jęk, który zabrzmiał z głośnika jego hełmu, jak róg przeciwny.

– O, Jeeezu! *Nie!*

– Co się stało, Ivan? – spytała go zaniepokojona Sachiko, która weszła jako kolejna.

Odsunął się na bok.

– Popatrz tylko na to, Sachi! I my to wszystko będziemy musieli przerobić?

Martha przepchnęła się przez drzwi za przyjaciółmi i rozejrzała dookoła, a potem stanęła jak wmurowana, dostając niemal zawrotu głowy z podniecenia. Książki. Regał po regale, pełne książek. Pół akra wypełnionych regałami, aż po sam sufit, na wysokość piętnastu stóp. Fitzgerald i Penrose, który przecisnął się do środka za nią, mówili coś do siebie szybko, z podekscytowaniem. Słyszała jedynie dźwięk ich głosów, a nie wypowiedane słowa. To musiały być zbiory główne biblioteki uniwersyteckiej -- cała spuścizna literacka wymarłej rasy Marsjan. Pośrodku, po drugiej stronie przejścia pomiędzy regałami, zobaczyła pusty kwadrat w którym znajdowały się pulpit bibliotekarzy, wąskie schodki i niewielka winda na książki, prowadząca na wyższe piętro.

Uświadomiła sobie, że idzie razem z innymi do przodu, w stronę pulpitu. Sachiko właśnie mówiła:

– Ja jestem najlżejsza. Pozwólcie mi wejść jako pierwszej.

Musiała mówić o ażurowych, metalowych schodkach.

– Wydaje mi się, że powinny być solidne – odparł Penrose. – Problemy jakie mieliśmy z drzwiami, wskazują że metal nie uległ tutaj degradacji.

W końcu młoda Japonka ruszyła do góry, wyglądając jeszcze bardziej kocio, niż przy delikatnej pracy nad książkami. Schodki okazały się całkiem mocne, pomimo swojego delikatnego wyglądu, tak więc podążyli za nią. Pomieszczenie piętro wyżej, było kopią tego przez które weszli i zdawało się zawierać mniej więcej zbliżoną liczbę książek. Zamiast marnować czas na przedzieranie się przez drzwi znajdujące się tutaj, wrócili na środkowy poziom piwnic, i weszli na górę po konstrukcji ruchomych schodów, po których poprzednio zeszli.

Górny poziom piwnic, obejmował kuchnie -- znaleźli tam elektryczne piece, na niektórych z nich ciągle stały garnki i patelnie -- a wielkie pomieszczenie musiało być niegdyś jadalnią stołówki studenckiej, aczkolwiek na koniec wykorzystywane było jako warsztat. Tak jak tego oczekiwali, bezpośrednio nad zbiorami, na poziomie ziemi, znajdowała się czytelnia biblioteczna. Wydawało się, że jej pomieszczenia zostały przerobione przez ostatnich mieszkańców budynku, na coś w rodzaju pokoju dziennego. Natomiast przylegająca do czytelnia aula była przystosowana do prac chemicznych. Stały w niej wielkie kadzie, aparatura destylacyjna, metalowa kolumna do frakcjonowania, która wystawała przez dziurę wybitą w znajdującym się siedemdziesiąt stóp wyżej suficie. Po całej sali leżały porozkładane wielkie stosy plastikowych mebli, w rodzaju tych jakie znajdowali wszędzie w całym mieście, część z



nich została wcześniej połamana, ewidentnie w celu powtórnego przetworzenia. Inne pomieszczenia na poziomie ulicy, również zdawały się być poświęcone celom produkcyjnym i naprawczym. Jeszcze na długo potem, kiedy uniwersytet jako taki przestał funkcjonować, musiała być tutaj prowadzona szeroka działalność produkcyjna, w wielu różnych dziedzinach.

Na pierwszym piętrze, znaleźli muzeum. Wiele znajdujących się w nim eksponatów, przetrwało do dnia dzisiejszego. Stały i leżały, mgliście na wpół widoczne, w brudnych szklanych skrzyniach. Obok muzeum położone były biura administracji. Drzwi do większości z nich, były zamknięte, a oni nie tracili czasu na próby ich sforsowania, ale te pomieszczenia które stały otworem, widać było że zostały zamienione na mieszkania. Sporządzili notatki i pobieżne plany pięter, które miały pomagać im w dalszych, bardziej szczegółowych badaniach. Zanim pokonali powrotną drogę na siódme piętro, dobiegało już niemal południe.

Selim von Ohlmhorst przebywał właśnie w pomieszczeniu na północnej ścianie budynku, szkicując położenie kilku rzeczy, przed dokładniejszym ich przebadaniem i zgromadzeniem w celu zabrania. Pokrył całe piętro szachownicą narysowanych kredą linii, które następnie ponumerował.

- Wszystko na tym piętrze mamy już pofotografowane - stwierdził. - Zorganizowałem trzy grupy -- miałem tylko tyle reflektorów -- które szkicują i robią pomiary. W takim tempie, jak nam to idzie, odliczając trochę czasu na lunch, powinniśmy skończyć dosyć wczesnym popołudniem.

- Szybko pracujesz. Najwyraźniej nie jesteś wyznawcą poglądu, że do pomieszczeń muszą wchodzić jako pierwsi „wykwalifikowani archeolodzy” - z przekąsem skomentował jego poczynania, Penrose.

- E, tam! Dziecinada! - niecierpliwie zawołał starszy mężczyzna. - Ci twoi oficerowie, nie są przecież głupcami! Wszyscy byli w Szkole Wywiadu i Szkole Dochodzeń Kryminalnych. Kilku najbardziej uważnych archeologów amatorów, jakich w życiu poznałem, było emerytowanymi żołnierzami albo policjantami. A poza tym, tu nie ma specjalnie dużo pracy do zrobienia. Większość pomieszczeń jest pustych, albo wyglądają tak jak to -- parę mebli, trochę połamanych śmieci i strzępków papieru. Czy tam w dole, na niższych piętrach, udało się wam coś znaleźć?

- No cóż, co nieco - oznajmił Penrose z nutką wesołości w głosie. - Może opowiesz, Martho?

Zaczęła opowiadać Selimowi. Pozostali, nie mogąc powstrzymać podniecenia, co chwila wtrącali swoje trzy grosze. Von Ohlmhorst wpatrywał się w nich z niedowierzaniem i zdumieniem.

- Ale to piętro zostało ograbione niemal do czysta, a budynki które badaliśmy wcześniej, zawsze były rabowane od poziomu ulicy w górę - powiedział, po dłuższej chwili.

- Ludzie, którzy splądrowali ten budynek, tutaj mieszkali - odparł Penrose. - Aż do końca mieli energię elektryczną. Znaleźliśmy chłodnie pełne jedzenia i piece, na których ciągle stała kolacja. Musieli używać wind do ściągania rzeczy z wyższych pięter. Cały parter został przekształcony na warsztaty i laboratoria. Wydaje mi się, że to miejsce mogło pełnić

podobną rolę, co klasztory w Ciemnych Wiekach w Europie. Albo rolę jaką takie klasztory mogłyby pełnić w czasie Ciemnych Wieków, gdy następują one po upadku wysoko rozwiniętej cywilizacji technicznej. Z drugiej strony, na poziomie ulicy znaleźliśmy całą masę karabinów maszynowych i lekkich działek szybkostrzelnych, a wszystkie drzwi były zabarykadowane. Mieszkający tutaj ludzie, próbowali utrzymać cywilizację na długo po tym, jak cała reszta planety, wróciła już do stanu barbarzyństwa. Przypuszczam, że od czasu do czasu, musieli odpiierać ataki barbarzyńców.

– Pułkowniku, mam nadzieję, że nie będziesz nalegał na przekształcenie tego budynku w kwatery mieszkalne dla ekspedycji? – z niepokojem zapytał von Ohlmhorst.

– Och, nie! To miejsce to archeologiczny skarb. Nawet więcej. Z tego co widziałem, nasi technicy będą mogli tutaj wiele się nauczyć. Ale, pomimo wszystko, lepiej uporządkuj to piętro tak szybko, jak tylko będziesz w stanie. Część znajdującą się pod powierzchnią, od szóstego piętra w dół, każę uszczelnić. Potem wstawimy tam generatory tlenu i agregaty prądotwórcze. Doprowadzimy do stanu używalności kilka wind. Na górnych piętrach możemy, piętro po piętrze, tworzyć tymczasowe strefy wypełnione powietrzem i korzystać z przenośnego wyposażenia. Kiedy będziemy mieli właściwą atmosferę, oświetlenie i ogrzewanie, ty, Martha i Tony Lattimer, będziecie sobie mogli systematycznie i wygodnie pracować, a ja udzielę wam każdej pomocy, jaką tylko będę mógł odciągnąć od innych zadań. To jest jedna z największych rzeczy, jakie do tej pory udało nam się tutaj znaleźć.

Nieco później zeszli na siódme piętro Tony Lattimer i jego towarzysze.

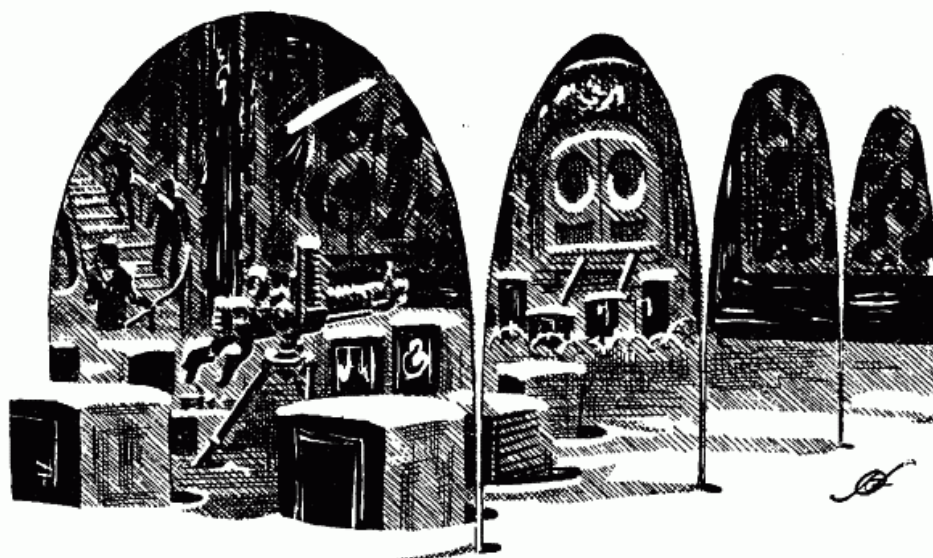
– Nie rozumiem tego, zupełnie – zaczął Tony, zaraz jak tylko przyłączył się do nich. – Ten budynek nie został ogołoceny w taki sam sposób, jak inne. Wszędzie indziej wydawała się obowiązywać procedura, szabrowania od dołu do góry, a tutaj zdaje się, że zabierali wszystko najpierw z górnych pięter. Wszyściutko, od samej góry. Tak przy okazji, dowiedziałem się, czym jest ta stożkowata konstrukcja. To turbina wiatrowa, a pod spodem znajduje się generator elektryczny. Ten budynek wytwarzał energię sam dla siebie.

– W jakim stanie są te generatory? – spytał go Penrose.

– No cóż, wszędzie jest pełno pyłu, który został wciągnięty do środka przez wiatrak turbiny, ale poza tym wszystko wygląda zupełnie w porządku. Hej, założę się, że o to właśnie chodzi! Mieli zasilanie, więc mogli wykorzystywać windy do zwożenia tego całego towaru na dół. – Przerwał na chwilę, wydawało się że pod swoją maską tlenową, wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. – Nie wiem, czy w obecności Marthy w ogóle powinienem o tym wspominać, ale dwa piętra wyżej... natknęliśmy się na pomieszczenie... to musiała być biblioteka podręczna jednej z katedr... kiedyś mieli tam w środku niemal setkę książek.

Odgłos, który mu przerwał, zabrzmiał jak skrzeczenie gigantycznej papugi. To tylko Ivan Fitzgerald ryczał ze śmiechu przez głośnik swojego hełmu.

**D**zisiejszy lunch w barakach, zamienił się w pośpieszny posiłek, pełen gadania z pełnymi ustami i podnieconych rozmów. Hubert Penrose i jego bezpośredni podwładni próbowali złapać coś na ząb, tłocząc się podczas pośpiesznej konsultacji, na jednym końcu stołu. Tego popołudnia prace nad wszystkimi innymi zadaniami, zostały zawieszono i grupa pięćdziesięciu kilku mężczyzn i kobiet, biorących udział w ekspedycji, skoncentrowała swoją uwagę na Uniwersytecie. Mniej więcej niezbyt późnym popołudniem, siódme piętro zostało już całkowicie przebadane, obfotografowane, poszkicowane, a freski w kwadratowym holu głównym zakryte ochronnymi płachtami. Do budynku wkroczyli Laurent Gicquel i jego ekipa zajmująca się uszczelnianiem, którzy właśnie pracowali w środku. Zdecydowano się objąć strefą napowietrzoną hol główny i utworzyć bariery odcinające na wszystkich wejściach do niego. Większość popołudnia zajęło francuskiemu inżynierowi znalezienie i zamknięcie wszystkich ciągów wentylacyjnych stwierdzono, że szyb windy na stronie północnej sięga bez przeszkód do dwudziestego piątego piętra. Dzięki niemu będą mieli dostęp do górnych kondygnacji budynku. Kolejny szyb, środkowy, będzie obsługiwał dolne poziomy. Nikt nie miał zamiaru zawierzyć samym antycznym windom. Do następnego wieczora, warsztaty mechaniczne na statku miały wyprodukować kilka samochodów i niezbędne maszyny, które zostaną wysłane na dół ładownikiem raketowym. W międzyczasie zakończone zostanie uszczelnianie budynku, a na właściwych miejscach staną nuklearne konwertery energii elektrycznej i uruchomione zostaną generatory tlenu.



Martha była właśnie na dolnym poziomie piwnic, następnego dnia, mniej więcej na godzinę przed lunchem, kiedy z windy wyszło dwóch oficerów Sił Kosmicznych, którzy przywieźli ze sobą dodatkowe światła. Ciągle jeszcze korzystała z aparatu tlenowego, i minęła dłuższa chwila zanim zorientowała się, że przybysze nie mają na twarzach masek, a jeden z nich pali papierosa. Natychmiast zdjęła swój hełm z głośnikiem,

mikrofon z gardła i maskę, a następnie ostrożnie odetchnęła i zrzuciła plecak ze zbiornikiem tlenu. Powietrze było chłodne i spleśniało-kwaśne, z odcieniem starości -- pierwszy marsjański zapach, jaki poczuła -- ale kiedy przypaliła papierosa, płomień zapalniczki zapłonął nieruchomo i jasno, a tytoń złapał ogień i palił się równo.

Tego wieczora archeolodzy razem z szeregiem innych cywilnych naukowców, paroma oficerami Sił Kosmicznych i dwoma korespondentami sieci informacyjnych Sidem Chamberlainem i Glorią Standish, przeprowadzili się, ustawiając swoje łóżka w pustych pokojach. W dawnym pomieszczeniu czytelnicy bibliotecznej zainstalowane zostały piece elektryczne i lodówka, i uruchomiono tam bar i stołówkę. Przez kilka dni całe to miejsce pełne było hałasu i krzątania, a potem stopniowo ludzie z Sił Kosmicznych i wszyscy poza kilkoma cywilami, wrócili do swojej własnej roboty. Nadal trzeba było zajmować się uszczelnianiem, co bardziej nadających się do zamieszkania, wcześniej przebadanych budynków, oraz do wyposażania ich i przygotowywania na przyjęcie za półtora roku, pięciuset ludzi z głównej ekspedycji. Wiele pracy wymagało również powiększenie lądowiska dla lądowników statku i budowa nowych zbiorników na chemiczne paliwo rakietowe.

Pracowano również nad oczyszczeniem z mułu antycznych miejskich rezerwuarów, zanim następną wiosenna odwilż nie przyniesie większej ilości wody, przez podziemne akwedukty, które wszyscy z uporem nazywali kanałami, na skutek błędnego tłumaczenia włoskiego słowa Schiaparellego. Chociaż to akurat, okazało się znacznie łatwiejsze niż przewidywano. Pradawni Budowniczości Kanałów musieli przewidzieć, że nadejdą czasy, kiedy ich potomkowie nie będą w stanie wykonywać dalej prac eksploatacyjnych, i zabezpieczyli się przed tym. Od dnia, w którym Uniwersytet został całkowicie przystosowany do zamieszkania, faktyczne prace w nim, prowadzone były przez Selimę, Tony'ego Lattimera i ją samą, przy pomocy kilku oficerów Sił Kosmicznych, przeważnie dziewcząt, i czterech czy pięciu cywilów.

---

**P**racowali po kolei, od dołu do góry, dzieląc powierzchnię podłóg na numerowane kwadraty, mierząc, spisując, szkicując i robiąc zdjęcia. Spakowali próbki materii organicznej i wysłali je na górę, na statek, do datowania metodą izotopu węgla C-14 i analizy. Pootwierali wszystkie puszki, słoiki i butelki, stwierdzając że cały znajdujący się w nich płyn, musiał wyparować przez pory w szkłe, metalu i plastiku, ponieważ nie było żadnej innej możliwości. Gdziekolwiek by nie zajrzeli, znajdowali ślady działalności, która uległa zawieszeniu w sposób nagły, i nigdy nie została wznowiona. Imadło, w którym pozostał zamocowany metalowy pręt, przecięty do połowy, a obok niego leżała piłka z brzeszczotem. Garnki i patelnie ze stwardniałymi pozostałościami jedzenia w środku. Zeschnięte na wiór kawałki mięsa na stole, z leżącym pod ręką nożem. Artykuły toaletowe na umywalkach. Niezasłane łóżka, których pościel gotowa była skruszyć się przy najbliższym dotknięciu, ale ciągle zdawała się

zachowywać ślad śpiącego. Papiery i przybory do pisania na biurkach, wyglądające jakby piszący wstał na chwilę i zamierzał zaraz wrócić aby coś dokończyć, a chwila ta zmieniła się w pięćdziesiąt tysięcy lat.

To ją prześladowało. Irracjonalnie, zaczęła się czuć jakby Marsjanie nigdy tego miejsca nie opuścili. Jakby ciągle gdzieś tu byli, krążyli wszędzie dookoła, z dezaprobatą spoglądając na nią, za każdym razem kiedy podnosiła coś, co położyli. Teraz to oni nawiedzali ją w snach, zamiast tajemniczego pisma. Z początku, każdy kto przeprowadził się do budynku Uniwersytetu, zajmował oddzielny pokój, szczęśliwy że może uciec przed ścisaniem i brakiem prywatności, panującym w barakach. Po kilku nocach, wręcz ucieszyła się, kiedy Gloria Standish wprowadziła się do niej i ochoczo zaakceptowała wymówkę dziennikarki, że ta czuła się samotna, nie mając kogoś, z kim mogłaby porozmawiać przed zaśnięciem. Sachiko Koremitsu przyłączyła się do nich następnego wieczora i codziennie przed położeniem się do łóżka, młoda oficer czyściła i oliwiła swój pistolet, twierdząc że boi się, by do środka nie dostały się nawet ślady rdzy.

Inni czuli to również. Selim von Ohlmhorst wyrobił w sobie nawyk nagłego odwracania się i spoglądania za plecy, tak jakby chcąc zaskoczyć kogoś, czy coś, co próbowałoby podejść go od tyłu. Tony Lattimer, pijący w pomieszczeniu czytelni drinka, przy zaimprovizowanym z biurka bibliotekarza barze, nagle odstawił swoją szklankę i głośno zaklął.

– Wiecie co to za miejsce? To jest archeologiczna *Marie Celeste*! – oznajmił. – Było zamieszkałe, aż do samego końca -- wszyscy widzieliśmy wysiłki tych ludzi, aby utrzymać tutaj cywilizację -- ale jak to się zakończyło? Co się z nimi stało? Gdzie oni zniknęli?

– Nie spodziewałeś się chyba, że będą na ciebie czekali przed wejściem, z czerwonym dywanem i wielkim transparentem: *Witajcie Ziemianie*, co nie, Tony? – spytała go Gloria Standish.

– Nie, oczywiście że nie. Oni wszyscy są już martwi od pięćdziesięciu tysięcy lat. Ale jeżeli byli jacyś ostatni Marsjanie, to dlaczego nie znaleźliśmy przynajmniej ich kości? Kto ich pochował, jeżeli wszyscy inni byli już martwi? – Popatrzył do środka szklanki, cienkiego jak bańka mydlana pucharka, znalezionej, razem z setkami innych, podobnych do niego, w znajdującej się na górze szafce, tak jakby dyskutował sam ze sobą, czy nie zrobić sobie kolejnego drinka. Potem przegłosował zgodę na to i sięgnął po dzbanek z koktajlem. – A wszystkie drzwi na poziomie gruntu są zakratowane, albo zabarykadowane od środka. W jaki sposób więc wydostali się na zewnątrz? I dlaczego stąd odeszli?

---

**N**azajutrz, w porze lunchu, Sachiko Koremitsu poznała już odpowiedź na drugie z tych pytań. Ze statku przyleciało rakieta czterech czy pięciu inżynierów elektryków, i spędziła w ich towarzystwie cały poranek, siedząc w maskach tlenowych na najwyższym piętrze budynku.

– Tony, wydawało mi się, że mówiłeś nam, o tych generatorach... że są w dobrym stanie – zaczęła, pochwycawszy spojrzenie Lattimera. –

Niestety, nie są. To chyba najbardziej paskudny bajzel, jaki w życiu widziałam. Patrząc na to jak tam wygląda, to musiały chyba puścić podpory turbiny wiatrowej i ta całym ciężarem spadła na główny wał, rozbijając wszystko co było pod nim.

– No cóż, po pięćdziesięciu tysiącach lat, można chyba oczekiwać czegoś takiego – odciął się Lattimer. – Kiedy archeolog mówi, że coś jest w dobrym stanie, to niekoniecznie musi oznaczać, że wystarczy pstryknąć przełącznikiem, aby puścić to w ruch.

– I nawet nie zauważył pan, że to się stało, kiedy wszystko było pod napięciem, co nie? – spytał jeden z inżynierów, zirytowany tonem Lattimera. – No cóż, tak właśnie było. Wszystko jest tam powypalane od zwarcia i stopione w jedną masę. Widziałem taką szynę zbiorczą o grubości ośmiu cali, która zupełnie przetopiała się na dwa kawałki. Szkoda, że to urządzenie nie jest w dobrym stanie, nawet w sensie archeologicznym. Widziałem tam mnóstwo interesujących rzeczy, rzeczy bardziej zaawansowanych niż to, czego my używamy obecnie. Ale uporządkowanie wszystkiego i domyslenie się jak to całe urządzenie wyglądało oryginalnie, zajmie nam ładnych parę lat.

– Czy widoczne były tam jakieś ślady, że ktoś próbował to naprawić? – spytała go Martha.

Sachiko pokręciła przecząco głową.

– Musieli tylko na to popatrzeć, i dali sobie z tym spokój. Nie wierzę, że istnieje jakiś sposób, żeby cokolwiek tam naprawić.

– No dobrze, to wyjaśnia dlaczego stąd odeszli. Potrzebowali elektryczności do oświetlenia i ogrzewania, a całe ich wyposażenie produkcyjne zasilane było elektrycznie. Dobrze im się tutaj żyło, ale tylko dopóki mieli energię. Bez niej to miejsce przestało nadawać się do zamieszkania.

– A więc dlaczego zabarykadowali wszystko od środka i w jaki sposób wyszli na zewnątrz? – dopytywał się Lattimer.

– Aby uniemożliwić innym ludziom włamanie się tutaj i ograbienie tego miejsca. Ostatni z nich prawdopodobnie zabarykadował drzwi i spuścił się po linie z wyższego piętra – zasugerował von Ohlmhorst. – Ta sztuczka a la Houdini, specjalnie mnie prześladuje. W końcu dowiemy się tego.

– Tak, pewnie mniej więcej wtedy, kiedy Martha zaczęła czytać marsjańskie książki – zadrwił Lattimer.

– Być może dowiemy się tego, akurat właśnie wtedy – poważnie odparł von Ohlmhorst. – Wcale by mnie to nie zaskoczyło, gdyby opuszczając tamto miejsce, zostawili jakąś informację na piśmie.

– Czyżbyś naprawdę zaczynał traktować jako poważną możliwość, tę jej mrzonkę? – spytał Lattimer. – Wiem, że byłaby to cudowna sprawa, ale cuda nie pojawiają się ot tak, same z siebie. One wydarzają się tylko wtedy, kiedy coś jest możliwe, a to po prostu nie jest. Pozwolę sobie zacytować pewnego szacownego hetytologa, Johannes Friedricha: „Niczego nie da się przetłumaczyć, na podstawie niczego”. Albo późniejszego, ale nie mniej szacownego hetytologa: „A jak masz zamiar zdobyć swoje dwujęzyczne teksty?”

– Friedrich dożył jeszcze czasów, kiedy zobaczył odczytanie i przetłumaczenie języka Hetytów – przypomniał mu von Ohlmhorst.

– Tak, kiedy znaleziono dwujęzyczne teksty hetycko-asyryjskie. – Lattimer odmierzył sobie czubatą łyżeczkę zmielonej kawy, wsypał ją do szklanki i zalał gorącą wodą. – Martho, przecież powinnaś wiedzieć, lepiej niż ktokolwiek inny, jak niewielką masz szansę. Przez całe lata pracowałaś w dolinie Indusu. Ile słów z języka Harappa ty, albo ktokolwiek inny, byliście w stanie odczytać?

– W Harappa, czy Mohendzo-Daro nigdy nie udało nam się odnaleźć uniwersytetu z biblioteką zawierającą pół miliona tomów.

– I już pierwszego dnia, kiedy weszliśmy do tego budynku, udało nam się ustalić znaczenie kilku słów – dodał Selim von Ohlmhorst.

– Ale od tego czasu nie znaleźliście znaczenia żadnego nowego słowa – wtrącił Lattimer. – A tak naprawdę, to jesteście pewni tylko ogólnego sensu, a nie szczegółowego znaczenia poszczególnych elementów składowych tych słów, a dla każdego z nich macie kilkanaście różnych interpretacji.

– Zrobiliśmy dobry początek – obstawał von Ohlmhorst. – Mamy nasze słowo Grotfenda oznaczające króla. A ja mam zamiar nauczyć się czytać te książki, nawet choćby miało to oznaczać, że spędzę tutaj całą resztę mojego życia. Na czym prawdopodobnie i tak się skończy.

– Czy to znaczy, że zmieniłeś zdanie odnośnie powrotu na *Cyrano*? – spytała go Martha. – Zostaniesz tutaj dłużej?

Starszy człowiek skinął głową.

– Nie mogę tego tak zostawić. Tutaj jest za dużo nowych rzeczy do odkrycia. Stary pies będzie musiał nauczyć się mnóstwa nowych sztuczek, ale od dzisiaj, to będzie moje nowe miejsce pracy.

Lattimer siedział wstrząśnięty.

– Kompletnie oszalałeś! – zawołał. – Czy chcesz przez to powiedzieć, że wyrzucisz na śmietnik cały swój dorobek z zakresu hetytologii i rozpoczniesz wszystko od nowa, tutaj na Marsie? Martho, jeżeli to ty namówiłaś go do podjęcia tej szalonej decyzji, to jest to po prostu zbrodnia!

– Nikt mnie do niczego nie namawiał – szorstko odparł von Ohlmhorst. – A co do wyrzucenia na śmietnik mojego dorobku w zakresie hetytologii, to nie wiem, u diabła, o czym ty w ogóle mówisz. Wszystko co wiem o Państwie Hetyckim zostało opublikowane i nadal jest dostępne dla każdego chętnego. Hetytologia, podobnie jak i egiptologia, przestały być już dziedziną badań naukowych i archeologii, a stały się domeną wykładową i częścią historii. A ja nie jestem wykładowcą, ani historykiem. Ja jestem archeologiem, specjalistą od badań terenowych, przy użyciu kilofa i szpadla -- wysokiej klasy i wyspecjalizowanym rabusiem grobów i zbieraczem rupieci -- a na tej planecie jest więcej do zrobienia przy pomocy kilofa i szpadla, niż dałbym radę przerobić nawet gdybym żył sto razy dłużej. To jest coś zupełnie nowego, i byłem osłem myśląc, że mógłbym odwrócić się od tego plecami i polecieć do domu, by skrobać jakieś przyczynkowe przypiski dotyczące królów Hetytów.

- Mógłbyś mieć wszystko co tylko byś zechciał, w dziedzinie hetytologii. Są dziesiątki uniwersytetów, które wolałyby mieć ciebie, niż mistrzowską drużynę futbolową. Ale nie! Ty musisz zostać najważniejszym człowiekiem również w marsjologii. Nie możesz zostawić tego na pastwę kogoś innego... - Lattimer odsunął swoje krzesło do tyłu, i zerwał się na nogi, z przekleństwem, które przypominało niemal szloch wściekłości.

Być może nie był w stanie opanować swoich uczuć. Być może uświadomił sobie, jak domyślała się Martha, ogrom swojej zdrady. Siedziała, unikając spojrzeń innych, wpatrując się w sufit, tak mocno zażenowana, jakby Lattimer rzucił przed nich na stół coś brudnego. Tony Lattimer desperacko pragnął, aby Selim wrócił do domu na *Cyrano*. Marsjologia była zupełnie nową dziedziną. Gdyby zajął się nią Selim, wniósłby do niej cały swój autorytet, jaki wypracował wcześniej jako hetytolog, automatycznie obejmując kierowniczą rolę, której Lattimer pożądał dla siebie samego. Ponownie zabrzmiały jej echem w uszach słowa Ivana Fitzgeralda -- kiedy ktoś chce być grubą rybą, nie jest w stanie znieść możliwości, że ktoś inny mógłby zostać jeszcze grubszą grubą rybą. Deprecjonowanie przez niego jej własnych wysiłków, teraz również stało się dużo bardziej zrozumiałe. To wcale nie chodziło o jego obawy, że nigdy nie uda jej się poznać języka marsjańskiego. On bał się, że Martha będzie w stanie tego dokonać.

---

**I**van Fitzgerald w końcu wyizolował drobnoustrój, powodujący chorobę Finchley, której wcześniej nie potrafił zdiagnozować. Wkrótce potem, choroba zmieniła się w łagodną gorączkę, z której dziewczyna szybko wyzdrowiała. Wydawało się, że nikt inny jej nie złapał. Fitzgerald ciągle próbował wykryć sposób przenoszenia się zarazka.

Znaleźli globus Marsa, zrobiony kiedy miasto było nadmorskim portem. Zlokalizowali na nim samo miasto, i dowiedzieli się, że nosiło ono nazwę Kukan -- albo coś o podobnie harmonijnym układzie głosek. Natychmiast Sid Chamberlain i Gloria Standish zaczęli opatrywać swoje transmisje nagłówkiem z nazwą Kukan i datą, a Hubert Penrose wykorzystywał ją w oficjalnych raportach. Znaleźli również kalendarz marsjański. Cały rok podzielony był na dziesięć miesięcy, mniej więcej takiej samej długości, i jeden z nich nazywał się Doma. Kolejny miesiąc nosił nazwę Nor, a to była część tytułu magazynu naukowego, znalezionego przez Marthę.

Bill Chandler, zoolog, zapuszczał się coraz to dalej i głębiej, na dno dawnego morza zalewającego niegdyś Syrtis. Czteryście mil od Kukan i na wysokości o piętnaście tysięcy stóp niższej, zastrzelił ptaka. A przynajmniej coś co miało skrzydła pokryte prawie, chociaż nie do końca, piórami, pomimo że patrząc na jego ogólny wygląd, stworzenie bardziej wyglądało na gada niż ptaka. On i Ivan Fitzgerald obdarli je ze skóry i oprawili, a następnie przeprowadzili sekcję zdobyczy, niemal tkanka po tkance. Prawie siedem ósmych objętości jego ciała, zajmowały płuca. Z całą pewnością oddychało ono atmosferą, zawierającą co najwyżej połowę



tlenu niezbędnego do życia istocie ludzkiej, ale pięć razy więcej niż powietrze w Kukan.

To usunęło archeologię z centrum zainteresowania, i spowodowało nowy wybuch aktywności. Wszystkie pojazdy powietrzne należące do ekspedycji -- cztery super lekkie koptery i trzy bezskrzydłe aerodyny myśliwsko-rekonesansowe -- zostały przerzucone do zadań związanych ze zintensyfikowanym badaniem niższych partii dna morskiego, a specjaliści i specjalistki od nauk biologicznych żyli w stanie szalonego podniecenia, dokonując nowych odkryć podczas każdego kolejnego lotu.

Uniwersytet pozostawiono Selimowi, Marcie i Tony'emu Lattimerowi, przy czym ten ostatni trzymał się z osobna, podczas gdy ona i Turko-Niemiec, pracowali wspólnie. Cywilni specjaliści z innych dziedzin i ludzie z Sił Kosmicznych, którzy wcześniej przytrzymywali taśmy do wyznaczania linii, sporządzali szkice i pstrykali zdjęcia, wszyscy polecili w dolne regiony Syrtis, aby zorientować się ile pozostało tam tlenu, i jakiego rodzaju żywe stworzenia można było tam jeszcze znaleźć.

Czasami wpadła do nich Sachiko, ale przez większość czasu zajęta była pomocą dla Ivana Fitzgeralda, przy sekcjonowaniu okazów. Znaleźli jeszcze cztery gatunki, które z grubsza można było określić jako ptaki, coś, co ogólnie należałoby sklasyfikować jako gada, oraz mięsożernego ssaka o rozmiarach kota, z ptasimi szponami, roślinożercę niemal identycznego ze stworzeniem podobnym do świni na wielkim fresku *Darfhulva* i gazelę z jednym rogiem na środku czoła.

Apogeum tego wszystkiego nadeszło, kiedy kolejna z wypraw znalazła, trzydzieści tysięcy stóp poniżej poziomu Kukan, powietrze nadające się do oddychania. Jeden z jej uczestników dostał łagodnego ataku *sorroche* i musiał zostać w pośpiechu odtransportowany drogą powietrzną do bazy na leczenie, ale pozostali nie wykazywali żadnych objawów chorobowych.

Codziennie transmisje wiadomości z Terry, mówiły o związanym z tym przesunięciu ciężaru zainteresowania opinii publicznej. Odkrycie Uniwersytetu skupiło jej uwagę na przeszłości Marsa. Teraz społeczeństwo zainteresowało się Marsem, jako możliwym nowym domem dla ludzkości. Tym, który wprowadził archeologię z powrotem do centrum aktywności ekspedycji oraz na nagłówki wiadomości w domu, był Tony Lattimer.

Martha i Selim pracowali w muzeum, zeskrobując brud ze szklanych pojemników, spisując zawartość i nanosząc permanentnymi pisakami numery. Lattimer i dwu oficerów Sił Kosmicznych, szperali w dawnych biurach administracji, po drugiej stronie holu. Jeden z nich, młody podporucznik, wpadł z balkonu do środka sali muzealnej, w najwyższym pośpiechu, niemal gotując się z podniecenia.

– Hej, Martho! Doktorze von Ohlmhorst! – wołał. – Gdzie jesteście? Tony znalazł Marsjan!

Selim rzucił trzymaną w ręku szmatę z powrotem do wiadra, a ona odłożyła swój notatnik, na pokrywę stojącego obok pojemnika.

– Gdzie? – zapytali razem.

– Tam, na północnej stronie. – Porucznik wziął się nieco w garść i zaczął mówić bardziej sensownie. – Małe pomieszczenie, na tyłach jednego z biur wydziału... sala konferencyjna. Była zamknięta od środka i

musieliśmy wyciąć drzwi palnikiem. Byli tam w środku. Osiemnastu, dookoła długiego stołu...

Gloria Standish, która wpadła do nich na lunch, stała na balkonie, niemal głośno krzycząc do końcówki radiofonu.

– ... Jest ich niemal dwudziestu. No pewnie, oczywiście że nie żyją. Co to za pytanie! Wyglądają jak szkielety pokryte skórą. Nie, nie wiem w jaki sposób umarli. No i co z tego, zapomnij o tym... nic mnie nie obchodzi, że Bill Chandler znalazł trzygłowego hipopotama. Sid, czy ty tego nie pojmujesz? Znaleźliśmy *Marsjan*!

Rzuciła słuchawkę na widełki, ruszając biegiem daleko przed nimi.

---

**M**artha przypominała sobie te zamknięte drzwi. Podczas pierwszego rekonesansu nie próbowali ich otworzyć. Teraz leżały na podłodze dużego pomieszczenia biurowego od frontu, wycięte z obu palnikiem, nadal jeszcze dymiąc na krawędziach. W wewnętrznym pomieszczeniu palił się reflektor, a Lattimer chodził dookoła, przyglądając się wszystkim szczegółom, podczas gdy drugi z oficerów Sił Kosmicznych stał koło drzwi. Środek pokoju wypełniał długi stół. W porostawianych wokół niego fotelach, siedziało osiemnaścioro mężczyzn i kobiet, którzy zajmowali to pomieszczenie przez ostatnich pięćdziesiąt tysięcy. Przed nimi na stole stały butelki i szklane naczynia, a z tego co jej się wydawało w przyćmionym świetle, można było niemal pomyśleć, że oni po prostu pousypiali nad swoimi drinkami. Jeden z nich przerzucił kolano przez poręcz swojego fotela i jakby spał zwinięty w pozycji płodowej, jak dziecko. Drugi upadł do przodu, na stół, z rozłożonymi rękoma, na jednym z jego palców połyskiwał przyćmionym blaskiem, osadzony w pierścieniu szmaragd. Pokryte skórą szkielety, jak ich nazwała Gloria. I tak rzeczywiście wyglądali -- twarze jak czaszki, ręce i nogi jak patyki, ciała wyschnięte i skurczone na znajdujących się pod nim kościach.

– Czyż to nie wspaniałe! – cieszył się Lattimer. – Masowe samobójstwo, to właśnie zrobili. Zauważyliście co jest w kątach?

Naczynia, zbudowane z perforowanych nieco ponad dwugalonowych metalowych puszek, białe ściany ponad nimi okopcone były od dymu. Von Ohlmhorst zauważył je natychmiast, i już świecił swoją latarką do środka jednego z nich.

– Tak. Węgiel drzewny. Widziałem spore ilości koło ręcznych kuźni, w warsztacie na pierwszym piętrze. Właśnie dlatego miałeś takie problemy z wdarciem się do środka. Uszczelnili pomieszczenie od wewnątrz. – Wyprostował się i ruszył dookoła pomieszczenia, dopóki nie znalazł wentylatora i nie zajrzał do niego. – Zapchany szmatami. Ci tutaj, to muszą być wszyscy, którzy pozostali. Ich źródło energii uległo zniszczeniu, a oni byli starzy i zmęczeni, podczas gdy wszędzie dookoła nich, umierał ich cały świat. A więc zebrali się tutaj wszyscy razem, zapalili węgiel drzewny i siedzieli pijąc wspólnie, dopóki nie zasnęli. No cóż, teraz przynajmniej, wiemy ci się z nimi stało.

Sid i Gloria wykorzystali większość z tego. Widownia na Ziemi chciała słuchać o Marsjanach, a ponieważ żywych Marsjan nie można było już znaleźć, pomieszczenie pełne martwych, było najlepszą rzeczą jaka mogła się trafić. Być może było to nawet czymś lepszym, minęło przecież dopiero sześćdziesiąt parę lat od czasu słynnej paniki wywołanej inwazją Orsona Wellesa. Tony Lattimer, odkrywca, zaczął ciągnąć zyski z uwagi poświęcanej wcześniej Glorii, i przymilania się Sidowi. Cały swój czas spędzał na udzielaniu wywiadów typu dźwięk i obraz, dla przekazów teletransmisyjnych, oraz nasłuchiowaniu wieści z ojczystej planety. Bez wątplenia, w ciągu jednej nocy, stał się najbardziej znanym archeologiem w historii.

– Nie, żebym był tym wszystkim zainteresowany, tak dla siebie samego – zarzekął się, po wysłuchaniu transmisji telewizyjnej z Terry, dwa dni po odkryciu. – Ale to będzie ważna rzecz, dla marsjańskiej archeologii. Przedstawienie całej sprawy szerokim kręgom społeczeństwa, odpowiednie tego udratyzowanie. Selim, przypominasz sobie co się działo kiedy lord Canarvon i Howard Carter odnaleźli grobowiec Tutenchamona?

– W 1923 roku? Miałem wtedy dwa lata – zachichotał von Ohlmhorst. – Naprawdę trudno ocenić, jak bardzo ten rozgłos przysłużył się dla rozwoju egiptologii. Och, muzea poświęciły więcej miejsca ekspozycjom egipskim, a jak już szef któregoś z muzealnych działów zdobędzie kilka dodatkowych witryn na swoje eksponaty, to sam wiesz jak trudno jest mu z nich zrezygnować. I przez chwilę łatwiej było zdobyć finansowe wsparcie dla nowych wykopalisk. Ale nie jestem w stanie powiedzieć, ile to publiczne podekscytowanie tak naprawdę przyniosło, na dłuższą metę.

– No cóż, myślę, że ktoś z nas powinien wrócić na *Cyrano*, kiedy *Schiaparelli* wejdzie na orbitę – zastanawiał się Lattimer. – Miałem nadzieję, że to będziesz ty. Twój głos miałby największe znaczenie. Ale wydaje mi się, że to ważne, aby ktoś z nas wrócił do domu, i zaprezentował historię naszych prac, oraz to co udało nam się osiągnąć i to czego mamy nadzieję jeszcze dokonać. Przedstawić wszystko szerokiej opinii publicznej, uniwersytetom, towarzystwom naukowym i rządowi Federacji. To będzie olbrzymia praca, którą ktoś musi się zająć. Nie możemy pozwolić na to, by inne dziedziny naukowe i, tak zwane, działania praktyczne, zmonopolizowały zainteresowanie społeczne i wsparcie akademickie. Tak więc, uważam, że powinienem wrócić na Ziemię, przynajmniej na chwilę, i zobaczyć co uda mi się zrobić w tej kwestii...

Wykłady. Organizacja Towarzystwa Archeologii Marsjańskiej, z dr Anthony Lattimerem, jako logicznym kandydatem na jego przewodniczącego. Stopnie, nagrody, szacunek naukowy i podziw całkowicie oddanej opinii publicznej. Stanowiska, z budzącymi wrażenie tytułami i pensjami. Konsekwencje rozgłosu mogą być słodkie.

Dogasiła palonego papierosa i wstała od stołu.

– No dobrze, ja ciągle mam do sprawdzenia ostateczne listy rzeczy znalezionych w Katedrze *Halvhulvy* – Biologii. Jutro zaczynam robotę nad *Sornhulwą*, i chcę aby ten materiał był gotowy do oceny przez ekspertów.

To była praca takiego rodzaju, jakiej Tony Lattimer wolał unikać, żmudna i drobiazgowa. Niech szara piechota czołga się błocie, aby lepsi od nich zdobyli medale.

---

Jakiś tydzień później, była w połowie prac na piątym piętrze, i właśnie jadła południowy lunch w czytelni, kiedy przyszedł Hubert Penrose i przysiadł się do niej, pytając co porabia. Opowiedziała mu.

– Zastanawiam się, czy mógłbyś znaleźć dla mnie paru silnych mężczyzn, mniej więcej na jakąś godzinę – dodała. – Wstrzymuje mnie para zamkniętych drzwi, w holu głównym. Sala wykładowa i biblioteka, jeżeli układ tego piętra przypomina choćby w niewielkim stopniu, te znajdujące się pod nim.

– Tak. Ja sam jestem całkiem niezłym wyłamywaczem drzwi. – Rozejrzył się po pomieszczeniu. – Tam jest Jeff Miles. Nie zajmuje się w tej chwili niczym specjalnym. I, dla urozmaicenia, możemy trochę zaprząć do roboty Sida Chamberlaina. Nasza czwórka, powinna wystarczyć, by otworzyć wszystkie drzwi, jakich będziesz potrzebowała. – Zawołał Chamberlaina, który właśnie odnosił swoją tacę do zmywarki do naczyń. – Hej, Sid! Czy masz może coś do roboty przez następną godzinkę, czy też coś koło tego?

– Miałem zamiar pójść na czwarte piętro, zobaczyć co robi Tony.

– Daj sobie spokój. Tony wyczerpał już swój limit Marsjan na tę porę roku. Będę pomagał Marcie wywalić dwoje drzwi, może znajdziemy cały cementarz pełen Marsjan.

Chamberlain wzruszył ramionami.

– Czemu nie. Zablockowane drzwi mogą skrywać za sobą wszystko, a ja wiem, co robi Tony -- zwykła rutynowa praca.

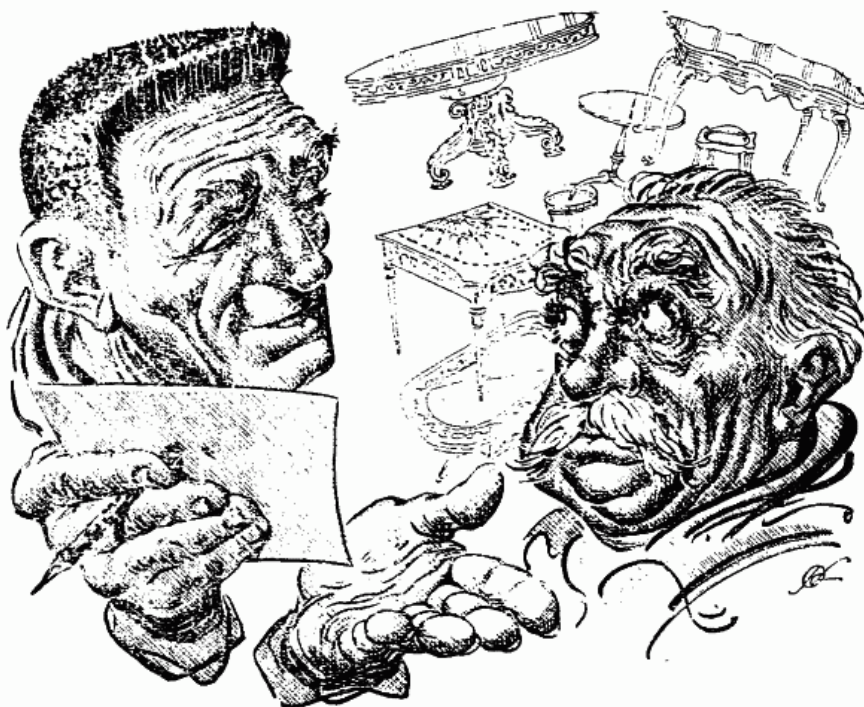
Jeff Miles, kapitan Sił Kosmicznych, przyszedł do niego, razem z jednym człowiekiem z laboratorium, ze statku, który przyleciał na dół rakieta, poprzedniego dnia.

– To powinno być coś, z twojej działki, Mort – mówił właśnie do swojego towarzysza. – Katedra chemii i fizyki. Chcesz pójść z nami?

Człowiek z laboratorium, Mort Tranter, miał na to ochotę. Oglądanie tego typu rzeczy było właśnie tym, po co przyleciał na dół. Skończyła swoją kawę i papierosa, i wyszli razem do holu, zabierając trochę sprzętu, a następnie pojechali windą na piąte piętro.

Sala wykładowa była bliżej, a więc to ją zaatakowali jako pierwszą. Dzięki odpowiedniemu wyposażeniu i dostatecznym siłom, nie sprawiła ona najmniejszego problemu, i dziesięć minut później, otworzyli jej drzwi na tyle szeroko, by przecisnąć się do środka z reflektorami. Sala wewnątrz była zupełnie pusta i, jak większość pomieszczeń za zamkniętymi drzwiami, stosunkowo wolna od pyłu. Studenci, jak się wydawało, siedzieli w niej plecami do drzwi, twarzą w stronę niskiej platformy, ale ich siedzenia, stół wykładowcy i całe wyposażenie, zostało usunięte. Na ścianach po obu stronach, widać było inskrypcje. Po prawej stronie wzorzec z koncentrycznych kół, w którym rozpoznała schemat struktury

atomu, a po lewej skomplikowana tabela liczb i słów w dwóch kolumnach. Tranter wskazał ręką na diagram na prawej ścianie.



- No, w każdym bądź razie widać, że doszli przynajmniej do atomu Bohra - stwierdził. - Właściwie, to niezupełnie. Wiedzieli o powłokach elektronowych, ale jądro narysowali jako zwartą masę. Nie ma żadnych śladów struktury neutronów i protonów. Założę się, że kiedy dojdiesz do tłumaczenia ich tekstów naukowych, to dowiesz się, że zgodnie z ich nauką, atom był cząstką ostateczną i niepodzielną. To wyjaśnia, dlaczego nie znaleźliście nigdzie żadnych oznak używania przez Marsjan energii jądrowej.

- To jest atom uranu - zauważył kapitan Miles.

- Naprawdę? - z podnieceniem spytał Sid Chamberlain. - A więc musieli wiedzieć o energii jądrowej. To, że nie znaleźliśmy żadnych obrazków grzybów atomowych, to wcale nie znaczy...

Odwróciła się, aby popatrzeć na drugą ścianę. Przez cały czas docierały do niej zza pleców żywe reakcje Sida. Uran oznaczał dla niego reakcję jądrową, i te dwa słowa były całkowicie zamienne. Kiedy studiowała rozłożenie liczb i słów na ścianie, usłyszała głos Trantera:

- To głupie, Sid. Znaliśmy uran już na wiele lat przedtem, zanim ktokolwiek pomyślał, co można przy jego pomocy zrobić. Na Ziemi uran został odkryty w roku 1789 przez Klaprotha.

W tabeli znajdującej się na lewej ścianie, było coś znajomego. Próbowwała sobie przypomnieć, czego uczyła się w szkole na temat fizyki i tego co później pochwyliła tu i tam przez przypadek. Druga kolumna stanowiła kontynuację pierwszej, w każdej z nich było czterdzieści sześć pozycji, wszystkie ponumerowane po kolei...

– Prawdopodobnie narysowali uran, ponieważ to jest największy z naturalnych atomów – mówił za jej plecami Penrose. – Fakt, że nie znali niczego poza nim, sugeruje że nigdy nie wytworzyli żadnego transuranowca. Student mógł podejść do tego i wskazywać zewnętrzne elektrony każdego z dziewięćdziesięciu dwóch pierwiastków.

---

**D**ziewięćdziesiąt dwa! To było to. W tabeli na lewej ścianie były dziewięćdziesiąt dwie pozycje! Numer jeden, to był wodór, to wiedziała. Jeden, *Sarfaldsorn*. Drugi był hel. To było *Tirfaldsorn*. Nie mogła sobie przypomnieć, który pierwiastek powinien być następny, ale po marsjańsku nazywał się *Sarfalddavas*. A więc *sorn* musi oznaczać materię, albo substancję. A *davas*... Próbowała wymyślić, co to może być. Szybko odwróciła się do innych i jedną ręką złapała za ramię Huberta Penrose'a, wymachując trzymanym w drugiej notatnikiem.

– Spójrz tylko na to, tam na górze! – krzyczała do niego w podnieceniu. – Powiedz mi, jak myślisz, co to może być? Czy to może być tabela pierwiastków?

Wszyscy odwrócili się do tyłu, aby popatrzeć. Mort Tranter spoglądał na nią przez chwilę.

– Mogłaby być. Gdybym tylko wiedział, co oznaczają te zawijasy...

To prawda, dotychczas spędzał swój czas na pokładzie statku.

– Gdybyś mógł odczytać liczby, czy to by pomogło? – spytała go, zaczynając zapisywać w notatniku cyfry arabskie oraz ich marsjańskie odpowiedniki. – To system dziesiętny, taki sam jakiego my używamy.

– Pewnie. Jeżeli to jest tabela pierwiastków, to liczby w zupełności mi wystarczą. Dzięki – dodał, kiedy wyrwała kartkę i podała mu ją.

Penrose znał marsjańskie cyfry i już go wyprzedził.

– Dziewięćdziesiąt dwie pozycje, ponumerowane po kolei. Ta pierwsza liczba, to powinna być liczba atomowa. Potem pojedyncze słowo, nazwa danego pierwiastka. I dalej, waga atomowa...

Zaczęła odczytywać nazwy pierwiastków.

– Znam wodór i hel. Ale co to jest ten trzeci, *tirfalddavas*<sup>1</sup>?

– Lit – wyjaśnił Tranter. – Wagi atomowe nie wychodzą poza przecinek dziesiętny. Przy wodorze jest jeden plus, jeżeli ten podwójny haczykowany zawijas, oznacza znak plusa. Dla helu jest cztery-plus, to by się zgadzało. Ale litowi przypisano siedem, a to już nieprawda. Jego waga wynosi sześć przecinek dziewięć cztery zero. Chyba że ta rzecz, to może marsjański znak minus?

– Oczywiście! Spójrzcie! Znak plus to haczyk, ponieważ łączy razem składniki. Znak minus to nóż, bo odcina coś od czegoś... widzicie, ta mała pętelka to trzonek, a ta podłużna szpiczasta pętelka to ostrze. Stylizowane

---

<sup>1</sup> Przypis redaktora z Projektu Gutenberg: Mamy tutaj do czynienia z niepoprawionym błędem: trzeci pierwiastek wyżej nazywa się „Sarfalddavas”, a niżej „tirfalddavas”. Nie zostało to zmodyfikowane w późniejszych wersjach tekstu, tak więc nie wiadomo, która nazwa powinna być poprawna. Wersja z dużej litery byłaby zgodna z innymi nazwami, a „Sar-” oznaczałoby związek z pierwszym pierwiastkiem danej grupy. Albo może postać pomyliła się z podniecenia?

oczywiście, ale to o to chodzi. A ten czwarty pierwiastek, kiradavas, co to będzie takiego?

– Beryl. Waga atomowa oznaczona jest jako dziewięć-i-haczyk. W rzeczywistości wynosi ona dziewięć przecinek zero dwa.

Sid Chamberlain był niezadowolony, ponieważ nie dostał swojej historii o Marsjanach posiadających energię atomową. Potrzebował kilku minut, aby zrozumieć nową sytuację, ale w końcu zaświtało mu to w głowie.

– Hej! Ty to odczytałaś! – zawołał na całe gardło. – Odczytałaś to po marsjańsku!

– To prawda – powiedział mu Penrose. – Po prostu, z tej tablicy można to natychmiast odczytać. Nie rozumiem jednak tych dwu dalszych pozycji, po wadze atomowej. Wyglądają jak miesiące w marsjańskim kalendarzu. Co by to mogło być, Mort?

---

**T**ranter zawahał się.

– No cóż, następną informacją po masie atomowej, powinny być numery okresu i grupy. Ale tutaj są tylko jakieś słowa.

– A, dla pierwszego z pierwiastków, wodoru, jakie to powinny być liczby?

– Okres pierwszy, grupa pierwsza. Jedna powłoka elektronowa, jeden elektron na powłoce walencyjnej – poinformował ją Tranter. – Hel również należy do okresu pierwszego, ale ma zapełnioną walencyjną, i jedyną, powłokę elektronową, tak więc należy do grupy pierwiastków niereaktywnych.

– *Trav, Trav*. *Trav* to pierwszy miesiąc roku. A przy helu mamy *Trav*, *Yenth*. A *Yenth* to miesiąc ósmy.

– Tak, pierwiastki niereaktywne mogą być nazywane grupą ósmą. A ten trzeci pierwiastek, lit, należy do okresu drugiego, grupy pierwszej. Czy to się zgadza?

– Z całą pewnością. Mamy tutaj *Sanv, Trav*. *Sanv* to nazwa drugiego miesiąca. A jak się nazywa pierwszy pierwiastek okresu trzeciego?

– Sód. Numer jedenaście.

– Zgadza się. Jest jak powinno *Krav, Trav*. A więc nazwy miesięcy są po prostu ich numerami, od jednego do dziesięciu, w postaci słownej.

– Piątym miesiącem jest *Doma*. To było twoje pierwsze marsjańskie słowo, Martho! – przypomniał jej Penrose. – Czyli, *doma* to znaczy pięć. A jeżeli *davas* jest słowem oznaczającym metal, a *sornhulva* to chemia i/lub fizyka, to mógłbym się założyć, że *Tadavas Sornhulva* można przetłumaczyć dosłownie jako Wiedza o Materii Metalicznej. Innymi słowy, metalurgia. Zastanawiam się, co znaczy *Mastharnorvod*. – Zaskoczyło ją, że pomimo długiego upływu czasu i tak wielu rzeczy jakie się w międzyczasie wydarzyły, ciągle jeszcze to wszystko pamiętał. – Pewnie coś w rodzaju „Magazyn” lub „Przegląd”, albo może „Kwartalnik”.

– Do tego również dojdziemy – oświadczyła z pewnością siebie w głosie. Po tym, co się stało tutaj, nic nie wydawało się już niemożliwe. – Może uda nam się znaleźć... – W tym momencie urwała w pół zdania. –

Powiedziałeś „Kwartalnik”. Myślę, że zamiast tego powinno być „Miesięcznik”. Datowany był przecież na konkretny miesiąc, właśnie piąty. A jeżeli *nor* to dziesięć, to *Mastharnorvod* mogłoby znaczyć „Dziesiąta część roku”. A ja z kolei mogłabym się założyć, że jak się później przekonamy, słowo *masthar* oznacza rok. – Ponownie spojrzała na tabelę na ścianie. – No dobrze, prześledźmy te słowa po kolei, starając się przetłumaczyć tyle, ile się da.

– Zróbmy sobie chwileczkę przerwy – zaproponował Penrose, wyjmując papierosy. – A potem postarajmy się zapewnić sobie odrobinę komfortu. Jeff, jak sądzisz, moglibyście z Sidem pójść do holu i rozejrzeć się, co uda wam się znaleźć w innych pomieszczeniach w kwestii biurka, czy czegoś podobnego, i paru krzeseł. Będziemy mieli tutaj dużo pracy, do której coś takiego by się naprawdę przydało.

Sid Chamberlain do tej pory wiercił się, jakby go oblażyły mrówki, próbując się powstrzymać od przejawów entuzjazmu. Teraz wybuchnął podnieconą paplaniną.

– To jest naprawdę Coś! Coś przez duże C, a nie jakieś tam coś tygodnia, jak odnalezienie rezerwuarów, tych posągów, czy tego budynku, a nawet martwych Marsjan! Poczekać tylko aż zobaczą to Selim i Tony! Zwłaszcza jak zobaczy to Tony, chciałbym wtedy widzieć jego twarz! A kiedy zrobię z tego transmisję telewizyjną, to na Ziemi wszyscy dostaną na tym punkcie kompletnego bzika! – Zwrócił się do kapitana Milesa. – Jeff, jak sądzisz, czy kiedy ty będziesz przyglądał się tym drugim drzwiom, to ja mógłbym znaleźć kogoś i wysłać go, aby powiedział Selimowi i Tony’emu? I Glorii, czekajcie tylko, aż ona to zobaczy...

– Wyluzuj trochę, Sid – ostrzegła go Martha. – Lepiej pozwól mi spojrzeć na twój scenariusz, zanim za bardzo się wychylisz, podczas tej transmisji telewizyjnej. To jest dopiero początek. Miną jeszcze lata, i lata, zanim będziemy w stanie przeczytać którąś z tych książek, tam na dole.

– To pójdzie szybciej, niż ci się wydaje, Martho – zapewnił ją Hubert Penrose. – Wszyscy usiądziemy do pracy nad tym, i wyślemy cały materiał teleprintem na Terrę, tak by tam też ludzie zaczęli nad nim pracować. Wyślemy im wszystko co tylko się da... wszystko czego się dowiedzieliśmy, kopie książek, kopie twoich list słów...

A przecież znajdą jeszcze kolejne tablice -- tablice astronomiczne, tablice fizyczne, z mechaniki, na przykład -- w których słowa i liczby będą sobie odpowiadać. Zbiory biblioteczne na dole, będą ich pełne. Wystarczy transliterować je na pisownię alfabetem łacińskim oraz zapis liczb przy pomocy cyfr arabskich, i gdzieś tam, ktoś odkryje znaczenie każdej liczby, podobnie jak Hubert Penrose, Mort Tranter i ona, zrobili dla tablicy pierwiastków. A po znalezieniu w bibliotece podręczników do chemii, znajdą znaczenie kolejnych nowych słów, na podstawie kontekstu, w jakim pojawiać się będą nazwy pierwiastków. Sama będzie musiała wziąć się za studiowanie chemii i fizyki...



**P**rzez drzwi zajrzała głowa Sachiko Koremitsu, a następnie do środka weszła ona sama.

– Czy mogę wam w czymś pomóc...? – zaczęła. – Co się stało? Czy coś ważnego?

– Ważnego? – eksplodował Sid Chamberlain. – Popatrz tylko na to, Sachi! Odczytaliśmy to! Martha odkryła jak odczytać marsjański! – Złapał za ramię kapitana Milesa. – Chodź, Jeff, idziemy. Chcę zawołać innych... – Wypadając w pośpiechu z sali wykładowej, ciągle coś paplał.

Sachi popatrzyła na inskrypcję.

– Czy to prawda? – spytała, a potem, zanim Martha zdążyła zrobić coś więcej, niż zaledwie rozpocząć wyjaśnienia, zarzuciła jej ręce dookoła szyi. – Och, to rzeczywiście prawda! Udało ci się to odczytać! Jestem taka szczęśliwa!

Musiała ponownie rozpocząć swoje wyjaśnienia od samego początku, ponieważ do środka wszedł Selim von Ohlmhorst. Tym razem udało jej się skończyć.

– Ale Martho, czy jesteś tego naprawdę pewna? Wiesz przecież, że przez cały ten czas, poznanie języka marsjańskiego, było dla mnie równie ważne, jak i dla ciebie. Ale jak możesz być taka pewna, że te słowa rzeczywiście oznaczają coś takiego jak wodór, hel, bor, czy tlen? Skąd wiesz, że ich układ pierwiastków, był choćby w części zbliżony do naszego?

Tranter, Penrose i Sachiko, cała trójka spojrzała na niego ze zdumieniem.

– To nie jest marsjański układ pierwiastków. To jest po prostu układ pierwiastków. Jedyny jaki może istnieć. – Mort Tranter niemal eksplodował. – Popatrz tylko, wodór ma jeden proton i jeden elektron. Gdyby miał więcej tego lub tamtego, to nie byłby już wodorem, lecz czymś zupełnie innym. I tak samo jest w przypadku wszystkich innych pierwiastków. A wodór na Marsie, jest dokładnie tym samym, co wodór na Ziemi, czy na Alfa Centauri, czy gdziekolwiek indziej w jakiegokolwiek galaktyce...

– Wystarczy po prostu ustawić te liczby, w takim właśnie porządku, a każdy student chemii, nawet z pierwszego roku, powinien ci powiedzieć, jakie pierwiastki one reprezentują – dodał Penrose. – Powinien, przynajmniej jeżeli spodziewa się dostać pozytywną ocenę z egzaminu, daję ci słowo.

Starszy mężczyzna powoli pokręcił głową, uśmiechając się.

– Obawiam się, że ja nie uzyskałbym takiej oceny. Nie miałem o tym pojęcia, a przynajmniej nie zdawałem sobie z tego sprawy. Jedną z najważniejszych rzeczy, jakie muszę zrobić, to złożyć zamówienia na transport na *Schiaparellim* zbioru podstawowych podręczników z fizyki i chemii, takich w rodzaju przeznaczonych dla zdolnych dziesięcio- czy dwunastolatków. Zdaje się, że marsjolog będzie musiał nauczyć się mnóstwa rzeczy, o których Hetyci czy Asyryjczycy, nigdy nawet nie słyszeli.

Wchodzący do Sali Tony Lattimer, pochwyił ostatnią część rozmowy. Rozejrzał się szybko po ścianach i zorientowawszy się, co się właśnie stało, podszedł do Marthy i złapał jej dłoń.

– Naprawdę tego dokonałaś, Martho! Znalazłaś swoje dwujęzyczne teksty! Przez cały czas nie wierzyłem, że to jest możliwe. Pozwól, że złożę ci gratulacje!

Prawdopodobnie oczekiwał, że to wymazuje wszystkie jego drwiny i szyderstwa z przeszłości. No cóż, jeśli tak, to niech mu będzie. Jego przyjaźń znaczyła równie mało co jego pogarda -- poza tym, że jego przyjaciele powinni bacznie pilnować swoich pleców i noża w jego ręku. A on wracał do domu na Cyrano, żeby zostać grubą rybą. Chyba że dzięki temu wydarzeniu, ponownie się rozmyślił?

– To jest coś, co możemy pokazać światu, jako uzasadnienie czasu i pieniędzy, wydatkowanych na prace archeologiczne na Marsie. Kiedy wrócę na Ziemię, dopilnuję, aby oddano ci pełne zasługi, za to osiągnięcie...

Na Ziemi jej plecy i jego nóż, znalazłyby się poza zasięgiem jej możliwości pilnowania.

– Nie będziemy musieli tak długo czekać – sucho stwierdził Hubert Penrose. – Już jutro wyślę oficjalny raport. Może być pan pewien, że doktor Dane zastaną przypisane wszelkie zasługi związane nie tylko z tym wydarzeniem, ale również z jej wszystkimi poprzednimi pracami, dzięki którym możliwe stało się dokonanie tego odkrycia.

– I mógłbyś jeszcze dodać, że prace te wykonane zostały pomimo wątpliwości i zniechęcających komentarzy jej kolegów – dorzucił von Ohlmhorst. – Do czego, jak muszę ze wstydem wyznać, sam również się przyczyniłem.

– Mówiłeś tylko, że niezbędne jest znalezienie dwujęzycznych tekstów – zaprotestowała. – Ty również miałeś rację.

– To jest coś więcej, niż dwujęzyczny tekst, Martho – oznajmił Hubert Penrose. – Nauki fizyczne wyrażają fakty uniwersalne, a więc w konsekwencji stanowią one uniwersalny język. Dotychczas archeolodzy mieli do czynienia wyłącznie z kulturami pre-naukowymi.

KONIEC